Nr. 67. Lwów, Niedziela dnia 8. Grudnia 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

W środku miasta, przy jednej z większych ulic, znajdowała się cukiernia, przed wystawą której Władek i Marcysia zatrzymywali się często, w czasie wspólnych wycieczek swych na miasto. Władek przecież z nieśmiałością zawsze i przeróżnemi ostrożnościami zbliżał się do niskiego, szerokiego okna, za którem błyszczały i wabiły go pozłociste bombonierki, cukrowe lalki i rozkwitłe w wazonach kwiaty.

— Cyt! — mówił do Marcysi kładąc palec na ustach — żeby tylko stryj nie zobaczył, bo zaraz kułakiem w plecy da i do chaty popędzi!

Jakoż zdarzało się, że gdy zapatrzony w cukrowe i papierowe cacka i przyczepiony u ramy okna w celu zobaczenia pąsowych firanek i sprzętów zdobiących wnętrze cukierni, zapomniał na chwilę o zwykłej ostrożności, z bramy sąsiedniej wychodził wysoki, poważny człowiek, w dostatniem choć z mieszczańska przykrojonem odzieniu i spostrzegłszy go, smutnie i gniewnie wstrząsać głową zaczynał. Czasem wołał. — Władek, Władek! a czy ty znowu po mieście włóczysz się i w cudze okna zaglądasz!

Wtedy chłopak usłyszawszy głos jego, odpadał od ramy okna i nie oglądając się zmykał z całej siły bosych swych nóg.

Niekiedy jednak gorzej bywało, bo zamożny cukiernik zbliżywszy się z cicha, podniósł giętką laskę, którą zawsze w ręku trzymał i opuszczał ją na plecy chłopca, zarazem chwytał go za ramię. Władek nadaremnie usiłując wyrwać się z silnego ujęcia, przysiadał na bruku chodnika, a Marcysia zaczynała krzyczeć w nieboglosy. Cukiernik nie zwracał najmniejszej uwagi na dziewczynę, a synowca łajał wyrzucając mu próżniactwo, włóczęgostwo i przepowiadając dlań przyszłość najstraszniejszą. Potem brał go za rękę, wprowadzał w bramę i przez kilka godzin zatrzymywał w mieszkaniu swojem. Zrazu, każdy wypadek podobny kosztował Marcysię wiele łez i rozpaczy; myślała, że poważny, wąsaty jegomość, którego sam widok napełniał ją trwogą zmięszaną ze czcią, na zawsze już uprowadził a może gdzieś tam i zabił małego jej przyjaciela. Potem jednak przekonała się, że nie było w wypadkach tych nic tak dalece strasznego i że nawet posiadały one swoją piękną i pożyteczną stronę; po kilku godzinach bowiem, czasem po nocy spędzonej u stryja, Władek wracał do Marcysi, która w głębi jaru, nad sadzawką zalewała się łzami albo zwieszona na wysokiej poręczy mostu, wpatrywała się załzawionemi oczami w najdalszy, widzialny ztamtąd punkt ulic. Wracał w poskokach i wnet wyjmował z kieszeni kilka cukierków lub parę ciastek, któremi dzielił się z towarzyszką. Jedząc przysmaki te Marcysia uspokajała się zupełnie i czasem ze zdumieniem spostrzegała na nogach towarzysza stare lecz nieobecne tam wprzódy obuwie, albo na plecach jego zniszczoną lecz zawsze od zwykłego spencerka porządniejszą surducinę.

— Buty! — mówiła wskazując na stopy towarzysza.

— Aha! — odpowiadał Władek — stryj kazał swojej żonie, żeby mnie dała te buty, co ich najmłodszy syn nie donosił!

— I to dał? — spytała pokazując niedojedzone cukierki lub ciastka.

— Ej nie! to ja sam sobie dał! Kucharz niósł do cukierni i na stole postawił, a ja ze stołu cap! i ściągnął.

— A jeść dał?

— Aj! aj! u nich takie smaczne jedzenie! mięsa dali i chleba z masłem...

— A bili?

— Nie; tylko wtedy na ulicy; potem już nie bili. Tylko stryj bardzo łajał, że ja urwis i ulicznik jestem. Powiedział, że mnie od ciotki odbierze i do siebie weźmie, ale żona jego zaczęła krzyczeć, że u nich i tak dużo dzieci jest...

— Dużo dzieci? — z zajęciem przerwała Marcysia.

— Dużo; trzech chłopców i dwie dziewczyny. Chłopcy do szkół chodzą a dziewczyny, gdyby lalki.

— A tam byłeś? — zapytała dziewczynka.

— Gdzie?

— Tam gdzie tak ślicznie... ślicznie... gdzie kwiaty takie i czerwone krzesła i złote okna...

Złote okna, były to w wyobraźni jej źwierciadła oprawione w złocone ramy,

— Aha! w cukierni! domyślał się Władek, nie, nie byłem. Tam obdartusów takich jak ja, nie puszczają. Przezedrzwi tylko przypatrzyłem się... o! to raj!

Po rozmowach podobnych i zjedzeniu *ściągniętych* przez Władka przysmaków, zapominali prędko o zdarzonym epizodzie swego życia i tylko przez czas jakiś unikali starannie cukierni i groźnego stryja, który jakkolwiek obdarzał synowca starą odzieżą swych synów, miał jednak silną rękę i giętką laskę, od której Władkowi przez czas długi zostawały na plecach sine plamy. Zapominali prędko o zdarzonym epizodzie i nigdy nie przyszło im na myśl, że cukiernia i jej właściciel odegrać mogą w życiu ich obojga rolę ważną i stanowczą,

Tak się przecież stało.

W rok niespełna po wyjeździe Elżbietki i zamieszkaniu Marcysi w chacie Wierzbowej, pewnego letniego pogodnego wieczoru, Władek z pędem ogromnym zlatywał w głąb jaru po stromej ścieżce i na głos cały wołał: Marcysiu! Marcysiu!

Dziewczynka, wychyliła się z najgłębszej gęstwiny krzewów, gdzie zbierala w fartuszek dziki agrest i czerwone jagody głogu.

— Hu! hu? — odkrzyknęła.

Władek stanął przed nią ze zczerwie-

nioną, wzburzoną twarzą. Widać było, że sam nie wiedział czy cieszyć się miał albo smucić, bo w oczach kręciły się mu łzy, ale po ustach wił się uśmiech tryumfujący.

— No! — zawołał — bywaj zdrowa i... pisz do mnie na Berdyczów, drobnemi literami! Już ja sobie ztąd idę!

— A gdzie? — zapytała, ciekawie i trwożnie zarazem.

— Do stryja! Stryj przyszedł po mnie... zabierze mnie do siebie... będę w niedzielę chodził do szkólki i uczył się czytać, a na codzień posługiwał gościom...

I z twarzą rozradowaną już całkiem, powtórzył:

— Bywaj zdrowa... tyle już mnie zobaczysz co swoje ucho!...

Z rąk dziewczynki wysunęły się końce fartuszka, agresty i głogi posypały się w trawę, a z oczu jej szeroko otwartych od zdumienia zrazu, potem od żalu, spłynęły strumienie łez. Potem gdy chłopiec odwrócił się i chciał odbiedz, chwyciła go obu dłońmi za połę odzieży i krzyknęła: Władek!

Stanął i popatrzył na nią.

— Aha! — rzekł — żal ci się zrobił! już beczysz! no, i mnie ciebie troszkę szkoda, ale widzisz co nowy surdut to nie podarty spencerek, co buty to nie gołe podeszwy... co cukiernia z czerwonemi krzesłami, to nie mokra ziemia...

Usiadł jednak na mokrej ziemi, a przy nim oczu z niego nie spuszczając, oniemiała i zesztywniała usiadła Marcysia. Opowiedział dziewczynce jak, kiedy ona z rozkazu Wierzbowej poszła na dno jaru agrest i głóg zbierać, do chaty przyszedł stryj, jak zobaczył go na dachu wsadzającego do gołębnika uwiedzione gołębie, jak rozgniewał się strasznie, do chaty wpadł i naprzód Wierzbowę złajał.

— Tak krzyczał na moją starą: jejmość nauczyłaś go kraść gołębie, bo korzyść z tego miałaś... a nie pamiętałaś o tem, że od rzemyczka do koniczka... I powiedział: mnie wstyd, że mój krewny ulicznikiem jest i ja nie mogę pozwolić na to, żebyś go jejmość na złodzieja wyhodowała.

Wierzbowa odkrzyknęła:

— A gdzież asan do tego czasu bywał?

Cukiernik odpowiedział:

— Albo to ja swoich dzieci nie mam? Brat hula i łajdaczy całe życie, a ja pracując krwawo mam jeszcze obciążać się jego dziećmi! Ale kiedy trzeba to trzeba. Nie ma co! zabieram chłopca... Niech niedzielami uczy się czytać a w dnie powszednie usługuje w cukierni...

Wszystko to opowiedział Marcysi Władek, który zlazłszy z dachu i przyczajony za oknem, całą rozmowę podsłuchał i wnet skoczył do jaru, aby o wszystkiem co zaszło oznajmić towarzyszce.

Opowiedział i zamilkł. Przed chwilą chciał już odbiedz, a jednak przykuwało go coś do tej trawy wilgotnej, na której tyle godzin przesiedział i tyle nocy przespał, do tej wody zielonawej, której tyle razy powierzał troski, i pożądania całego swego sponiewieranego, nędznego dzieciństwa, do tej dziewczynki nakoniec, czarnookiej i ognistowłosej, którą tyle razy z wody wydobywał i na ręku swem ze stromej ściany jaru znosił, z którą tyle kęsów ubogiej żywności przełamał i tyle nocy, w oponach mgieł białych i pod strażą gwiazd złotych przespał, którą uczył wdrapywać się na dachy i drzewa, znajdować w gałęziach gniazda ptasie i w trawach zielone żaby, której bajkami i piosnkami bawił się i zachwycał, z którą razem żebrał i żalił się na złą dolę, kradł gołębie i marzył o jakiejś szczęsnej, bogatej, złotej przyszłości... Przykuwało go coś do tego miejsca i do tej dziewczynki, której drobna twarz blada teraz jak opłatek i perlistemi łzami oblana, bielała obok niego w zmroku, na tle ciemnych krzewów.

— Władek! — szepnęła.

— A co? — zapytał niepewnym głosem. Czuć było, że chciało mu się płakać.

— Co to będzie?

— Albo co?

— Co to będzie... jak ciebie nie będzie?

Nie odpowiedział, bo w tej chwili rozległ się w górze wołający go głos cukiernika. Poskoczył i w mgnieniu oka znalazł się u szczytu ścieżki. Marcysia jak ptak porwała się z pomiędzy traw i krzewów i pobiegła za nim. U szczytu ścieżki stanęła w chwili kiedy cukiernik wziął za rękę chłopca i przemawiając doń burkliwie, nie gniewnie jednak, prowadził go ku przedmieściu, ku mostowi na rzece, het precz! ku miastu, którego krzyże i okna świeciły jeszcze ostatkiem padających na nie ogni zachodu. Stała nieruchoma z obwisłemi rękami i bosemi stopami utopionemi w trawie. Czerwony promień wił się po skamieniałej jej twarzy i roziskrzał czarne szeroko rozwarte oczy.

— Władek! — zawołała.

Chłopiec niedaleko był jeszcze, usłyszeć mógł, jednak nie obejrzał się.

— Władek! — krzyknęła z całej siły.

Nie obejrzał się.

Być może, iż w pamięci jej stanęły chwile te dawne, gdy na rękach matki znoszona z tej samej ścieżki, którą szedł on teraz, oglądała się wciąż za nim, póty, dopóki nie skryły go przed nią szare domki przedmieścia.

Teraz, zniknął on wśród tych domków a ona patrzała jeszcze na most, który przebywać on musiał. Most był daleko, jechało i szło po nim mnóstwo ludzi, ona stała jednak i tak długo na most patrzała, aż zgasł czerwony promień wijący się po twarzy jej i źrenicach, zgasły i zczerniały krzyże i okna miejskie i całe miasto jak długa, wyzębiona czarna plama rozpostarło się na tle stojących za niem szkarłatnych obłoków. Wtedy zwróciła się szybko na ścieżkę w dół biegnącą i znikła w głębi jaru, gdzie długo, długo w noc, wśród głuchych szelestów drzew i lekkich plusków wody słychać było głębokie, przeciągłe dziecięce szlochania.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, Marcysia biegła przez most, do miasta. Nie znać już było całonocnego płaczu na twarzy jej, którą umyła snać w chłodnej wodzie sadzawki i którą różowiły blaski powstającego dnia. Przebiegła most, kilka ulic i zdyszana, uśmiechnięta, stanęła przed drzwiami cukierni. Wznosiły się one nad chodnikiem kilku wschodkami. Dziewczynka wskoczyła na nie, wspinając się na palce przyłożyła twarz do szerokiej szyby, i aż zadrżała cała z radości.

— Władek! — szepnęła głośno — Władek!

Nad głową jej przeraźliwie zajęczał dzwonek, drzwi otworzyły się i na progu stanął Władek — jakże zmieniony! Miał na sobie porządne ubranie z szarego sukna, nowe prawie buty i brudnawą, lecz czerwoną jeszcze chustkę na szyi.

— Czegoś ty tu przyszła? — zaczął spychając dziewczynkę ze wschodków na chodnik, a ztamtąd jeszcze uprowadzając co prędzej ku bramie; — czegoś ty tu przyleciała? Stryj powiedział, że kiedy zobaczy mnie z ulicznemi dziećmi, bić będzie! czy chcesz żeby mię tłukli i pędzali za ciebie, jak jakiego Hamana?

— Nie chcę! — szepnęła i szeroko otworzyła oczy i usta.

— A widzisz! to i nie przylatuj tu nigdy! ja sam przylecę do ciebie, jak będę miał czas... nie bój się! przylecę i wszystko opowiem! aj! żeby ty wiedziała!...

Widać było, że długoletniem przyzwyczajeniem wiedziony miał wielką ochotę opowiedzieć jej wszystko co widział i czego doświadczył. Urwał jednak mowę swą, bo na dziedzińcu rozległy się kroki męzkie i laska o bruk stuknęła.

— No idź już sobie! idź! — szepnął pośpiesznie. — Wiesz? — dodał — ja tutaj z pewnością bogatym zostanę... zobaczysz, że zostanę...

— Przylecisz? — zapytała Marcysia.

— W świat wyszedłem i na człowieka przynajmniej wyglądam...

— Przylecisz? — powtórzyła.

— Tylko oczy i uszy szeroko mnie trzeba otwierać a słuchać i uczyć się, jak to ludzie na świecie sobie radzą...

— Przylecisz? — szepnęła znowu, ale szept jej przygłuszył krzyk dzwonka u drzwi cukierni, które zamykały się za Władkiem.

Kiedy powoli i ze zwieszoną głową wróciła do chaty, Wierzbowa spotkała ją w progu. Nie miała jeszcze na głowie białego czepca a rozczochrane siwe włosy jej sterczały we wsze strony dokoła twarzy wielkiej, zaspanej, zwisającej grubemi marszczkami.

— Gdzieżeś latała? ty! włóczęgo! nic dobrego! — krzyknęła. — Czemu woda nie przyniesiona! Do miasta mi trzeba a nie mam czem umyć się ani herbaty ugotować? Leć mi po wodę! prędzej!

Pod grożącą jej, ściśniętą pięścią starej, Marcysia wpadła do chaty i w mgnieniu oka ukazawszy się znowu z dzbankiem w ręku, pobiegła brzegiem jaru, daleko, potem spuściła się nisko w dół, kędy ze żwirowatej, głębokiej rozpadliny tryskała i po kamykach z szumem zbiegała wązka nić strumienia. Usiadła tam na osłonecznionej trawie i nastawiwszy dzbanek pod zbiegającą po żwirze wodę, patrzała jak wielkie krople uderzając o kamienie rozpryskiwały się w srebrne pyły. Nad rozpadliną szumiało kilka karłowatych sosenek a po chwili załopotały tam skrzydła ptasie. Marcysia podniosła głowę, zasmucona twarz jej błysnęła radością. Różowy gołąb kołysał się na gałęzi niskiej sosny i wyciągając głowę spoglądał na nią z góry. Rzuciła dzbanek na żwir, wyciągnęła kn niemu obie ręce i zaczęła go wołać, a gdy ptak posłuszny znajomemu i przyjaźnemu głosowi zleciał na jej ramię, przytuliła go do piersi i z ustami przyciśniętemi do jego skrzydeł, kołysała go jak dziecię, szepcąc długo:

— Lubusiu! oj Lubusiu! Nie ma Władka! nie ma! nie ma! nie ma!

Gdy wracała, dzban napełniony wodą był tak ciężki, że niosące go ramię jej uginało się

aż prawie ku ziemi, a na policzki wystąpiły rumieńce wysilenia. Nad nią, niżej, to znowu wyżej, leciał gołąb. Spoglądała ku niemu od chwili do chwili i uśmiechała się.

W godzinę potem, Wierzbowa ubrana już w zwykłą swą kwiecistą wełnianą suknię, dużą chustę i biały czepiec, wyszła do miasta, a wnet po wyjściu jej Marcysia otworzyła na oścież jedno z okienek chaty. Przez okienko to można było widzieć ją krzątającą się w ciemnawem, okopconem wnętrzu izby, zamiatającą podłogę ogromną miotłą, ścielącą łóżko, rozniecającą ogień i przystawiającą doń garnek z wodą i ziemniakami. Na stole stała szklanka z niedopitą przez Wierzbowę herbatą i leżały resztki niedojedzonej bułki. Na oknie siedział Lubuś dziobiąc garstkę grochu i okruchy chleba. Marcysia spełniła gospodarskie czynności, w które się już była przez rok ubiegły wprawiła, a potem wyszła do ogródka, usiadła na zagonie i pleć poczęła warzywo. Lubuś poleciał za nią. Pieląc, dziewczynka wzdychała często i wstrząsała głową. W koło niej szczebiotało ptactwo a w oddali, za rzeką gwarzyło i szumiało miasto. Od chwili do chwili podnosiła głowę i przechylała ją w stronę miasta. Zdawało się, że w gwar i szum dolatujący ztamtąd, wsłuchiwała się z natężeniem. Myślała może, iż zdoła wśród tysięcy zmięszanych tam głosów rozróżnić głos przyjaciela...

Od dnia tego, z ulic miasta żebrząca tam wprzódy bosa dziewczynka, zniknęła. Z rozkazu Wierzbowej, Marcysia chodzić zaczęła na zarobki. Zrana, przed wschodem słońca jeszcze, nosiła dla zamożniejszych rodzin przedmiejskich, dzbany krynicznej wody. Potem pleła warzywo i oczyszczała ścieżki w ogrodach, pomagała praczkom płukać w rzece bieliznę, w jarze zbierała berberys i głóg a na polach zioła, i sprzedawała je na rynku miejskim lub w aptekach. Pieniądze otrzymywane za to wszystko odnosiła Wierzbowej, która od czasu gdy korzyść z niej ciągnąć zaczęła, była dla niej łagodniejszą i łaskawszą, często jednak wspominała o tem, iż z łaski trzyma ją u siebie, bo matka jej dawno już zapomniała o swych przyrzeczenizch.

Istotnie, Elżbietka przez pierwsze tylko kilka miesięcy, przysyłała przyrzeczoną Wierzbowej sumę, przyczem dołączała kartkę grubego papieru, na którym ktoś uproszony przez nią, (sama nie umiała pisać) zapytywał: czy Marcysia żyje, zdrowa i dobrze się prowadzi? Potem pieniądze i kartki z zapytaniami przybywały coraz rzadziej, aż w drugim roku pobytu Marcysi u Wierzbowej całkiem przybywać przestały.

— Albo umarła, albo rozpiła się do reszty — mówiła Wierzbowa do Marcysi i dodała; — najpewniej i jedno i drugie. Rozpiła się do reszty i umarła gdzieś pod płotem, albo w szynku pod ławą.

Tak bez ogródek żadnych udzielane jej wiadomości o matce, zdawały się z pozoru mało obchodzić Marcysię. Od dnia odejścia Władka stała się ona bardziej milczącą jak wprzódy, spowolniała, chodziła i pracowała najczęściej w milczeniu. Dowiadując się o ostatecznem zamilknięciu matki nie smutniała więcej, tylko w dniach, w których Wierzbowa najszerzej się o tem rozgadywała, Marcysia kładnąc się do snu na sienniku umieszczonym pod piecem na ziemi, wzdychała głośno po kilka razy. Czy przypomniała sobie wieczory nieczęste wprawdzie, w których matka zanosiła ją na ręku do nędznego łóżka swego i usiadłszy przy niej, cerując starą odzież, usypiała ją piosnkami i bajkami? Zdawało się nawet, że im dłuższy czas upływał od rozstania się jej z matką, im bardziej po rozłączeniu się z nieodstępnym towarzyszem swego dzieciństwa, czuła się samotną i osieroconą, tem częściej przypominała sobie matkę i tem jaśniejszą, powabniejszą stawała przed nią postać jej. Jakie rojenia i dumy zjawiały się teraz w głowie dziewczynki tej o łagodnych smutnych ustach i wzroku spuszczonym najczęściej ku ziemi, jakie tęsknoty i bole kładły się na jej sercu — trudnoby odgadnąć i ona sama nie potrafiłaby pewno opowiedzieć. Ale gdy czasem, w chacie i naokoło, daleko, nikogo nie było, w ciszę głęboką mięszał się tylko odległy szum miasta, a z bliska przerywały ją urywane świegoty wróbli — gdy w głębi jaru szumiały stare wierzby, a za jarem, po złotych polach rozchodził się od czasu do czasu przeciągły pokrzyk oracza lub chichot wesołej żniwiarki — samotne dziecko, siedzące na skopanej ziemi ogródka i wyrywające z zagona dzikie, kolące zielska, podnosiło głowę, powłóczystem, przygasłem spojrzeniem wiodło za różowym gołębiem, przechadzającym się po dachu chaty i przypominając sobie jedną z pieśni matczynych, zawodziło:

— W lot gołąbka uroniła
Piórko na jeziorko;
Matka poszła precz — za światy,
Ja w cudze podwórko.

Nachylała się nad zagonem, pełła pilnie, szybko, uważnie, a w godzinę jaką dopiero lub później jeszcze, opuszczała znowu ręce, znowu oglądała się za gołębiem i śpiewać kończyła:

— Biada piórku na jeziorku,
Tak samemu pływać;
Biada w cudzem mnie podwórku,
Łzami się zalewać!

Nie zalewała się jednak łzami nigdy. Cicha była, cierpliwa i skryta. Rówieśnic swawolnych i hałaśliwych unikała, a przy spotkaniu z rówieśnikami pytała zawsze czy nie widzieli Władka. Władek przybiegał do niej zrazu dość często. (C. d. n.)

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(*Ciąg dalszy.*)

Podczas swojego pobytu w Konstantynopolu, jakkolwiek przez nikogo do tego nie upoważniony, ułożył on projekt rozejmu między Polską a Turcyą, który miano zawrzeć pod warunkiem, iż Rzeczpospolita pospieszy na pomoc sprzymierzonemu z sułtanem królowi węgierskiemu [1]). Czyn ten dokonany zupełnie na własną rękę i kompromitujący Polskę wobec dworu austryackiego, całkiem słusznie oburzył Zygmunta.

Z usposobienia królewskiego wybornie umieli skorzystać przeciwnicy rodziny Łaskich. Niewątpliwie ich to było dziełem, że Zygmunt odebrał wówczas Hieronimowi starostwo malborskie, a nadto do tego stopnia był na niego oburzony, iż zamierzał go nawet przed sąd swój zawezwać [1]). Prymas [2]) i Zapolya [3]) wstawiali się za nim, starając się postępowanie jego w lepszem przedstawić świetle. Usiłowaniom tym, jakoteż wpływom partyi antyaustryackiej na dworze polskim [4]) zawdzięczał prawdopodobnie wojewoda, że Zygmunt nie wykonał swojego zamiaru, ale starostwa malborskiego już mu nie zwrócił. Tak więc czego nie zdołały dokonać intrygi i zabiegi osób najbardziej wpływowych w Polsce, stało się wskutek nieoględności i planów awanturniczych samego Hieronima.

Było to pierwsze upokorzenie, którego doznał wówczas arcybiskup dzięki ambitnym usiłowaniom swojego synowca. Tryumf odniesiony przez przeciwników nader boleśnie zranił jego dumę, ale doniosłość tej klęski niknie wobec strasznych następstw, jakie sprowadziły dla prymasa dalsze działania wojewody.

Tymczasem król Jan, nie mogąc się oprzeć wojskom Ferdynanda, zmuszony był ustąpić z swojego królestwa i w sąsiedniej Polsce szukać schronienia. Gościnnie przyjęty na zamku tarnowskim przez ówczesnego właściciela tego grodu, a niebawem słynnego pogromcę Wołochów pod Obertynem, utrzymywał ztąd stosunki z swoimi stronnikami w Węgrzech i związki dyplomatyczne z innemi państwami, a zarazem do nowej gotował się walki. Z końcem Września 1528 r. [5]) przybył tu także wojewoda sieradzki. Zapolya hojnie wynadgrodził go za położone dotąd zasługi, nadając rozległe dobra i tytuł hrabi spiskiego [6]).

Łaski jeszcze z Carogrodu donosił mu, że sam Soliman zamierza przeciw Ferdynandowi wystąpić do boju [7]); już wówczas bowiem postanowiono w Konstantynopolu podjęcie owej wielkiej wyprawy, przed którą całe Niemcy zadrżały w roku następnym [8]). Król Jan niebawem powrócił do Węgier i również zamierzał zebrać jak największą siłę zbrojną. Obok pułków węgierskich miały walczyć także zaciężne wojska niemieckie. W tym celu wysłano do północnych

---

[1]) O ułożeniu warunków tego rozejmu doniósł królowi sam Hieronim w liście z 4. Kwietnia 1528 r. (Acta Tomic. Kod. Sap. t. VII. k. 160a—161b). W Tomicyanach przechowała się także korespondencya w tej sprawie, wyrażająca w sposób wcale niedwuznaczny niezadowolenie z tego powodu tak samego króla, jak wybitniejszych osobistości, niechętnych Łaskiemu (tamże k. 156a—162a).

[1]) Tamże, k. 124a—125a, 218b, 219a, 223a. 236a—238a.

[2]) Tamże. k. 228a—229b.

[3]) Zapolya kilkakrotnie starał się uniewinnić Łaskiego przed Zygmuntem, a mianowicie w listach z 1go Lipca i 6go Sierpnia 1528 r. (Arch. ces. wied. Hungarica 1528 Octobr. — Decembr. Nr. 221—2. Acta Tomic. Kod. Sap. t. VII. k. 239b—240a) i dwukrotnie przez posłów swoich (tamże k. 124a—125a, 251a).

[4]) Znaczenie tej partyi było tem większe, że na czele jej stała Jadwiga, córka Zygmunta I i Barbary Zapolskiej i że sam król osobiście nierównie więcej sprzyjał Zapolyi niż Ferdynandowi. Por. G. Szerémi, Emlékirata Magyarorszak Romlasarol (Monum Hungar. hist. T. I. p. 233)

[5]) 22. Września 1528 r. (Acta Tomic. Kod. Sap. t. VII. k. 250a.)

[6]) Wagner, Analecta Scepus. Pars I. pag. 38—39.

[7]) Arch. ces. wied. Hungarica 1528 pod dniem 23. Stycznia tegoż roku.

[8]) Hier. Łaski, Hist arcana legationis (Bel, Adparatus ad hist. Hungar. p. 185, 189.)

*

Niemiec z początkiem r. 1529 kilku ajentów węgierskich, którymi wspólnie z Łaskim kierował znany awanturnik Mikołaj Minkwitz [1]). Wojska przez nich zebrane, ciągnąc w małych oddziałach, „nie gromadą ani hufem“ — jak się wyraża późniejsza legacya Zapolyi [2]) — „ale rozlicznie i tędy i owędy“, miały pod dowództwem Hieronima przez Polskę udać się do Węgier. W Poznaniu miano im żołd wypłacać [3]). Liczbę ich podaje sam wojewoda sieradzki na 15,000 zbrojnych, koszta przy tem poniesione na 54,000 dukatów [4]). Wydatków tych nie mógł opędzić wycieńczony skarb węgierski, ani też sam Hieronim z swoich funduszów [5]), jednak arcybiskup, który stale wspierał go w jego usiłowaniach i w tym wypadku nie odmówił i nie mógł mu odmówić swojej pomocy.

Dumny ten starzec od dzieciństwa wpajał w swoich synowców ambicyę i pragnienie sławy i dostojeństw, a kiedy najstarszy z nich Hieronim z całym zapałem młodości rzucił się do osiągnięcia celu wytkniętego mu przez prymasa, arcybiskup nie usuwał się od udziału w wykonaniu jego śmiałych zamysłów. Rady stryja i jego pomoc pieniężna ważną zapewne odegrały rolę w działaniach wojewody. Czy miał go nagle opuścić na tej drodze, pełnej chwały i niebezpieczeństw, właśnie w chwili, kiedy Hieronim najbardziej potrzebował jego pomocy?

Ambitny synowiec arcybiskupa w ostatnich czasach utracił wprawdzie starostwo malborskie, a ściągnąwszy na siebie gniew Zygmunta I. podkopał przez to stanowisko Łaskich w Polsce, jednak na drodze do sławy i wielkości niemało posunął się naprzód. Jego misye dyplomatyczne zjednały mu poważanie u najcelniejszych dworów europejskich, imię Hieronima głośne było od Bosforu aż do wybrzeży Wielkiej Brytanii i niemal cała Europa interesowała się tym śmiałym awanturnikiem [6]), który łącząc dzielność rycerską z nieporównaną zręcznością wytrawnego dyplomaty, zadziwiające usługi oddawał swojemu panu. W nadgrodę za to został hrabią spiskiem i otrzymał rozległe dobra w północnych Węgrzech, ale ani świetne te korzyści, ani też sława już uzyskana nie zdołały uspokoić jego niczem niepohamowanej żądzy coraz wyższych godności i dostojeństw. Stale zatem trwał on na tej drodze, na której prymas był mu dotąd mistrzem i przewodnikiem. Nowe zasługi, położone około sprawy króla Jana, coraz świetniejszą miały mu torować przyszłość. Zebranie owych wojsk zaciężnych, w znacznej części kosztem i staraniem Hieronima, miało być dalszym szczeblem do przyszłej potęgi i znaczenia wojewody. Ale ważnej tej sprawy mógł on dokonać tylko przy pomocy arcybiskupa: czy miał go opuścić właśnie wówczas, tak bliskiego już owej wymarzonej wielkości, do której w własnej ojczyźnie nieprzeparte stawiała mu tamy zawiść przeciwników?... Przeszłość prymasa i stosunek jego do ukochanego synowca nie dozwoliły mu usunąć się od udziału w dalszych usiłowaniach Hieronima, jakkolwiek w tak wysokim stopniu kompromitujących go jako jednego z pierwszych w chrześciańskiej dostojników kościoła.

Dla zebrania potrzebnych w tym celu sum pieniężnych zastawił arcybiskup część dóbr kościelnych swojej archidyecezyi. Niektóre z nich sprzedano nawet z jego polecenia, w innych gromadzono broń, kuto lance, przygotowywano żywność dla wojska i rozmaite przybory wojenne. W miastach wielkopolskich gorliwie pracowali najęci przez prymasa rzemieślnicy nad zaopatrzeniem wojska zaciężnego w wszelkie potrzeby. Na dworze arcybiskupa przyjmowano gońców króla Jana i ułatwiano komunikacyę między Zapolyą a Hieronimem [1]). Wszystko najpomyślniej postępowało naprzód: arcybiskup wraz z synowcem już niemal pewni byli szczęśliwego ukończenia swojego dzieła, gdy w tem niespodziewane trudności zniweczyły wszelkie ich zabiegi z takim kosztem i trudem podejmowane.

(C. d. n.)

[1]) Maciej Drzewicki w liście do Maur. Ferbera z 20 Maja 1528 r. (Rps. Arch. XX. Czartoryskich 249, str. 79). — Por. Quellen u. Erörterungen zur baicrischen u. deutschen Geschichte t. IV. str. 65.

[2]) Legatio a Ser. Joanne, Rege Hungariae ad Sigismundum I. Regem Poloniae, data Jacobo Secignewski etc. (Acta Tomic Kod. Sap. T. VIII. k. 13a)

[3]) Bucholtz, Gesch. der Regierung Ferdinand I t. III. str. 243.

[4]) Acta Tomic. Kod. Sap. T. VII. k. 408a.

[5]) Stosunki majątkowe Hieronima Łaskiego, mimo znacznej jego fortuny, wówczas w niezbyt korzystnem przedstawiały się świetle. W r. 1527, przed wyjazdem do Węgier (8. Kwietnia), pożyczył on od Andrzeja Tęczyńskiego wojewody sandomierskiego 3000 złp. oddając mu w zastaw Rytwiany i Staszów wraz z 50 wsi, położonych w powiatach sandomierskim i wiślickim (Metr. kor. ks. 40. fol. 740) Dobra te stanowiły zapewne większą część posagu jego małżonki Anny Kurozwęckiej. Ogromną tę sumę — jak na owe czasy — pochłonęły jego misye dyplomatyczne w latach 1527 i 1528, tak że już w Wrześniu r. 1529 musiał Hieronim zastawić za 750 złp. wieś Łucyanowice w ziemi krakowskiej (6 Września. — Lib. inscriptionum castr. Cracov. 38. p. 116).

[6]) O prawdziwości zdania powyższego najlepiej przekonywa korespondencya współczesna. Autorowie jej, bez różnicy narodowości, w dziale „nowin“, jakie podają w swych listach, obok wiadomości o pierwszorzędnych wypadkach europejskich, zamieszczają częstokroć także krótsze lub dłuższe ustępy o Hieronimie, jego podróżach dyplomatycznych, stosuukach osobistych i w ogóle ważniejszych zdarzeniach z jego życia, niekiedy powtarzając nawet niepewne wieści, o nim obiegające.

[1]) Głównem źródłem, z którego dowiadujemy się o tych działaniach prymasa, jest wydany w roku następnym dekret papieski, nakazujący wytoczenie arcybiskupowi z tego powodu procesu. O akcie tym pomówimy poniżej obszerniej. Najważniejsze z szczegółów w nim podanych potwierdza Filip Padniewski w dziełku: „De viris aetatis suae et gentis illustribus liber“ (Rps. Bibl. Ossol. 77 str. 50. Por. Paprocki, Herby rycerstwa pols. wyd. Turows str. 587). Że zaś rzeczywiście Łaski pozastawiał i posprzedawał część dóbr, będących własnością arcybiskupstwa gnieznieńskiego, o tem świadczy także polecenie, wydane w r. 1531 przez papieża Klemensa VII do biskupów krakowskiego i kujawskiego, aby dobra w ten sposób utracone starali się napowrót dla kościoła odzyskać (Theiner, Monum. Pol. et Lith. T. II. Nr. DXXX).

Ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, jak zachowywała się wówczas kapituła gnieznieńska, która tak stanowczo umiała wystąpić, gdy prymas w r. 1519 podobnego chciał się dopuścić nadużycia (por. wyżej.) W aktach kapituły dziś już żadnego nie znajdujemy śladu jakiejkolwiek opozycyi przeciw postępowaniu Łaskiego. Nie dowodzi to jednak jej ówczesnej bierności, gdyż pod r. 1530 wydarto sporą ilość kart, które mogły zawierać dokumenta dotyczące tej sprawy. — Wiadomość tę zawdzięczamy uprzejmości Wgo Teodora Wierzbowskiego.

O ZASYPIANIU I BUDZENIU SIĘ

przez

JULJANA OCHOROWICZA.

(Ciąg dalszy.)

W części owo wyzwolenie się uczuć tłumionych a w części też same prawa asocyacyi na zasadzie współczesności, następstwa, podobieństwa i kontrastu, przywołują do świadomości całe tłumy wrażeń i wyobrażeń, tworząc z nich zestawienia nowe, nigdy przed tem nie urzeczywistniane. I na tem polega właśnie *twórczość* snu, oryginalna sfera jego konstrukcyj, jego niespodzianek, przedłużeń, zmian i dopełnień z barwą indywidualnych skłonności. Miał to już Heraklit zauważyć w dowcipnem swem orzeczeniu, że podczas gdy na jawie dla wszystkich nas istnieje świat jeden — we śnie każdy ma swój świat dla siebie. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nam ktoś dał spis swoich snów wiernie zebranych, to moglibyśmy z nich wywnioskować o jego charakterze bardzo wiele, nieraz więcej może niż ze sztucznej tkanki wyuczonych lub udanych słów i myśli dziennych. We śnie człowiek przedstawia się wprawdzie nie takim, jakim jest, ale krańcowo takim, jakim jest w swych słabostkach. To czego się najwięcej obawia, występuje przed nim jako rzeczywistość; to, co zaledwie przeczuwał — spełnia się; co kochał tylko — tu posiada; czego nie lubi — tu nienawidzi, czego się bał stracić, traci. Uczucia, obowiązki, sumienie, draśnięte na jawie, występują jako dochodzące praw swoich, pogwałcone istotnie, stają się tyranami egoizmu. O! sen jest nieubłaganym w swojej konsekwencyi. A przecież nie jest to konsekwencya rozumu, lecz uczuć. Wobec rozumu jest ona nielogiczną — wobec uczuć konieczną. Sen ją doprowadza do ostateczności, nie zatrzymując się, nie wahając, nie znając przeszkód. Najumiarkowańszy człowiek bywa radykalistą we śnie, najtrzeźwiejszy bywa obłąkanym, najodważniejszy tchórzem. Nie dosyć na tem: Sen tworzy talenta. Nie mającemu pojęcia o malarstwie pozwala komponować efektowne i barwiste sceny, w których kolory i cienie zupełnie prawidłowo są rozłożone, co więcej, lepiej od najlepszego powieścio-lub komedyo-pisarza nadaje każdej znanej osobie jej właściwy charakter, w postaci, ruchach intonacyi i treści mowy. Spostrzeżenia, w znacznej części bezwiednie, machinalnie na jawie czynione, tu występują jako przeciętny wyraz cech, który wskutek tego zadziwia nas swą trafnością.

Ale ta bystrość i ten ład w marzeniach sennych nie trwają nigdy długo — stopniowo zaczyna przeważać chaos, który nie oszczędza nawet poczucia naszej własnej osobistości. Samowiedza rozszczepia się, niedołężnieje, widzimy się zewnątrz siebie, swoje myśli uważamy za głos innych osób, zapominamy o własnem nazwisku, tracimy nietylko poczucie ale i wyobrażenie stosunków własnego ciała w przestrzeni, i nareszcie wchodzimy w fazę mglistego już tylko migotania wyobrażeń, bez tła i bez granic, którego żadne pióro opisać nie zdoła. Dla ścisłości możemy tylko dodać, że ten spadek czynności psychicznej nie dzieje się zupełnie stopniowo, lecz bywa przerywany kolejnem następstwem zaciemnień i błysków świadomości, drobnych zasypiań i przebudzeń.

A teraz skoro już znamy *cechy*, możemy rozebrać *przyczyny*.

Jest już dziś pewnikiem ustalonym w nauce, że każda *praca* zużywa organ pracujący. Wprawdzie ta praca jako czynność umiarkowana jest niezbędną dla rozwoju samego organu, ponieważ zużycie jest jednocześnie powodem odnowy przez krew, ale po upływie pewnego czasu, gdy czynność się przedłuża a wraz z nią zużycie, krew nie może nastarczyć odnowy i objawia się potrzeba przerwania wszelkiej czynności dowolnej, podczas którego organizm mógłby się całkowicie odrestaurować, kosztem zwolna gromadzących się we krwi pierwiastków odżywczych.

Ta zaś potrzeba przerwania wszelkiej czynności, dowolnej, jest właśnie potrzebą *snu*.

We śnie narządy trawienia i oddychania działać nie przestają, krew więc otrzymuje przerobione z pokarmów pierwiastki odżywcze; a ponieważ przytem i krążenie trwa dalej, może więc te pierwiastki rozsyłać po ciele i wszystkie jego części odżywiać. Wprawdzie ów przypływ krwi do organów w spoczynku będących jest mniejszy od przypływu do organów pracujących, gdyż praca sama przez się ściąga krew (ręka uderzająca młotem, głowa pracująca umysłowo, rozgrzewają się i krwią nabiegają) ale za to, właśnie wskutek zawieszenia pracy, zawiesza się i zużycie, a tem samem krew choć w mniejszej ilości przypływa, odżywia skuteczniej i trwalej. Fortlage miał więc pewną racyą powiedzieć, że „o tyle tylko żyjemy, o ile śpiemy — zaczynając czuwać, zaczynamy umierać".

Pierwiastkiem we krwi się znajdującym, a najbardziej sprzyjającym czuwaniu jest gaz zwany *tlenem*. Gaz ten nadaje odżywczą siłę powietrzu, które w płuca wciągamy i staje się zarazem warunkiem czynności wszystkich organów. Jest on naturalnym *pierwiastkiem budzącym*. Ponieważ zaś wciągamy go z powietrza, gdzie się znajduje pomięszany z innym gazem, *azotem* — od stosunku zatem tlenu do azotu w powietrzu zależyć będzie jego własność budząca lub usypiająca. Możemy to sprawdzić doświadczalnie. Preyer wykazał w r. 1872 i 1873, że umieszczając zwierzęta w przestrzeni zamkniętej i powiększając stopniowo ilość azotu w stosunku do ilości tlenu, można sztucznie wywołać wszelkie objawy zasypiania i wreszcie snu głębokiego, który znów stopniowo ustępuje przy wpuszczaniu coraz większej ilości tlenu.

Ale pospolite przyczyny snu nie leżą w powietrzu, lecz w samym organizmie. Przejrzyjmy je.

Ponieważ niezbędnym warunkiem czynności organów jest krew, a więc warunkiem sprzyjającym zasypianiu będzie przedewszystkiem:

1) *Utrata krwi*. Ranny słabnie, omdlewa i zasypia wskutek krwi upływu.

Jednak ilość krwi zbyt mała dla całego organizmu, może być dostateczną dla mózgu. Osłabienie ogólne nie wyklucza czynności myśli. I odwrotnie: przy dostatecznej ilości krwi w innych organach, może powstać:

2) *Brak krwi w mózgu*, bez ogólnej jej utraty. Według przybliżonych obliczeń ilość krwi przez mózg pochłanianej wynosi niemniej jak $^1/_5$ całej jej ilości, bardzo więc łatwo spotęgowana czynność innych organów, może wyrządzić uszczerbek mózgowi. I tak: po długiem chodzeniu, po wytężonej pracy fizycznej jakiegokolwiek rodzaju, następuje odciągnięcie krwi od mózgu do mięśni, które wyjątkowej restauracyi potrzebują i wskutek tego mózg otrzymuje mniej niż powinien, odczuwając ten brak jako potrzebę snu. Sen w takich warunkach bywa nawet bardzo twardym, i przychodzi prędko. Wogóle też ludzie pracujący fizycznie zasypiają łatwiej i głębiej niż pracujący umysłowo. Za to sen tych ostatnich zwykle trwa dłużej. Podobnież odciągnięcie krwi od mózgu, może nastąpić i wskutek nadmiernej czynności wewnętrznej, mianowicie żołądka i kiszek. Po nadmiernem objedzeniu się organa te muszą silnie pracować, a pracując zużywają krew i odciągają ją od mózgu. Umysł staje się wtedy ociężałym i coraz mniej zdolnym do pracy, według starego przysłowia: *plenus venter, non studet libenter*. Sen w ten sposób wywołany nie trwa długo, ale może być dość głęboki. Jest to tak zwana drzemka poobiednia ludzi dobrze jedzących i lubiących spokój — starców systematycznych — młodszych, pracujących usilnie w rannych godzinach i nareszcie tych, dla których dobre trawienie jest jednem z pierwszorzędnych zadań życia. Ponieważ zaś jest ono bądź co bądź kardynalnym warunkiem zdrowia, lepiej więc jest nie przeszkadzać mu odciąganiem krwi do mózgu, i przez jakie pół godziny po obiedzie powstrzymać się od wszelkiej pracy umysłowej.

Nareszcie, brak krwi w mózgu może być wywołany i przez samą pracę umysłową jako zużywającą krew, mianowicie jeśli ta praca kończy się bez pozostawienia bodźców uczuciowych do dalszej w tymże kiernnku czynności. A więc jeżeli np. wykończamy jakąś pilną robotę, która po skończeniu przestaje nas interesować. Gorączkowa praca zużyła krew nadsyłaną, a z chwilą ostatnią przestała też ściągać nowe jej ilości, mózg więc zapada w senność.

Obok zaś tych przyczyn naturalnych mogą być i sztuczne. *Parry* i inni badacze przekonali się, że u zwierząt sen wywołać można przez sam *nacisk* na mózg, który zwężając naczynia krwionośne zmniejsza tem samem napływ krwi. Tak samo działa *zimno* u zwierząt odbywających sen zimowy, albo też nacisk wewnętrznej natury, wywołany przez wysięk chorobliwy płynów w mózgu lub przez wgłębienie się złamanej części czaszki, albo nareszcie przez sztuczne podwiązanie tętnic przynoszących krew mózgowi.

Że podczas snu ilość krwi bywa zmniejszoną, o tem świadczą, wbrew zdaniu Preyera w ostatniej cennej jego pracy, spostrzeżenia Klaudyusza Bernarda, nie mówiąc już o innych obserwatorach mniej umiejętnych lub mniej głośnych. Mózg, odkryty w tym celu umyślnie u zwierząt, lab przypadkowo wskutek rany u człowieka, okazuje się we śnie bledszym i spokojniejszym w swych ruchach oddechowych; każdy zaś sen gorączkowy, wrażenie lub wzruszenie uczuciowe ożywia jego ruchy i krew sprowadza. Wiadomo też jak łatwo może powstać zapalenie mózgu u rekonwalescentów osłabionych — pod wpływem uczuciowych wrażeń lub wzruszeń.

Ale zmniejszenie przypływu krwi do mózgu, nie jest warunkiem, któryby sam przez się do objaśnienia zjawisk zasypiania wystarczył. Jest bardzo prawdopodobnem, że krew może napływać w dostatecznej ilości a mimo to sen przychodzi. Musimy więc sięgnąć głębiej i zbadać bardziej zasadnicze snu warunki, a mianowicie:

3) *Brak tlenu we krwi* obok dostatecznego przypływu. Łatwo zrozumieć, że nietyle jeszcze ilość, ile jakość krwi stanowi o jej wartości dla organizmu. Brown Se'quard zdołał sztucznie tlenem krew ożywiając wywołać zjawiska czuwania nawet w ściętej głowie psa, a przeciwnie odebranie krwi tlenu, czyni ją w całej masie niezdolną do odżywiania i sprowadza utratę świadomości. Osiągamy ten cel utrudniając w jakikolwiekbądź sposób oddychanie. W płucach to bowiem odbywa się pochłanianie tlenu a wydzielanie kwasu węglowego — albo też zatruwając samą krew takim czynnikiem chemicznym, który tlen zabiera dla siebie, np. tlenkiem węgla, gazem, który wydzielając się z pieca zawcześnie zamkniętego, wywołuje objawy *zaczadzenia* — sen patologicznie twardy i trudny do usunięcia.

Zasypianie po zmęczeniu umysłowem bywa także często nie tyle rezultatem braku samej krwi, ile raczej braku w niej tlenu, podczas pracy zużytego; trafia się to mianowicie wtedy, gdy praca sama przez się przedstawia dla nas urok i coraz to nowe dla przedłużenia jej obudza pobudki, ale mózg wycieńczony odmawia posłuszeństwa, myśli plączą się i zasypiamy snem gorączkowym, w którym rozpęd mechaniczny umysłu pasuje się z bezwładnością ciała.

(C. d. n.)

ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE.

Pod świeżem wrażeniem odczytanego przed chwilą, po raz już niewiem który *Króla Zamczyska* Goszczyńskiego, zbliżałem się w licznem towarzystwie do ruin odrzykońskiego zamku.

Towarzystwo było liczne, więc niepotrzebuję dodawać, że było gwarne i wesołe; choć może wspomnienie tych ruin i słowa wieszcza, które dotąd brzmiały nam duszy — do wznioślejszego powinne były dostroić nas tonu.

Ale już to samo, że jechaliśmy z paniami, które, jako wrażliwsze na wszelkie przygody w podróży, co chwila, za najlżejszem podskokiem wózka, głośnem *ach!* odrywały naszą uwagę od głównego celu podróży: usprawiedliwia potrosze roztargnienie, z jakiem zdążaliśmy do tych historycznych zwalisk.

Z daleka już, na gościncu widzać było wspaniałe ruiny, bielejące jak olbrzymi szkielet na tle zielonych borów i wzgórz wyniosłych, falujących od niedojrzałego owsa i obszernych łanów koniczyny.

Zostawiwszy na boku Krosno, sławne z grobowca Anny i Stanisława Oświęcimów — skręciliśmy na prawo, kolo klasztoru kapucyńskiego, a porzuciwszy drogę żwirową i most na Wisłoku, wjechaliśmy na tak zwany „prywatny gościniec" który wśród licznych zawad i wybojów, płynął iak strumień polski, wąską ale krętą wstęgą aż pod same stopy odrzykońskiego zamku.

Na chwilę ruiny znikły nam z oczu, i dopiero, po kwandransie dobrej jazdy — pokazały na nowo swe posiwiałe szczyty, kąpiące się w powodzi promieni słonecznych — ozłocone ich blaskiem, nagie — obszarpane — drżące niemal ze starości...

Co moment byliśmy ich bliżsi... A gdy dwa staja drogi dzielącej nas od zamku, dla niewygodnego podjazdu trzeba było przejść pieszo: to nieważając na zmęczenie, biegliśmy prawie ku nim, aby je co rychlej ujrzyć z bliska i powitać w nich świadka tylu i tak pięknych wspomnień historycznych.

Bo wszakżeż to w tych samych ruinach, trzy wieki temu, kiedy zamek stał jeszcze w całym majestacie swej grozy i niewruszoności — chronił się w nim 1528 r. nieszczęśliwy król węgierski *Jan Zapolia*, wyzuty z tronu i szukający gościny u magnata polskiego — jakim był podówczas wojewoda Marcin Kamieniecki. Wszakżeż to ten sam zamek o wiek później w 1657 r. oblegał *Rakoczy*... Wszakżeż to na tym zamku, *Firlej* podejmował naszego Zygmunta... Wszakżeż to...

Ale dość wspomnień niech same ruiny mówią za siebie.

Po owem długiem i ciężkiem oblężeniu Rakoczego, który, jako jeden z pretendentów do korony polskiej, współcześnie z wojskiem Karola Gustawa najechał ziemię naszą — zamek, zaczął się chylić ku upadkowi. Granitowe jego mury, długo i wytrwale opierały się najezdcy... uległy

nareszcie gwałtowności szturmujących, a załoga głodem zmuszona do kapitulacyi, podziemnym gankiem (o którym legienda prawie że ciągnie się aż pod farę krośnieńską) — ustąpiła z zamku, a w jego wspaniałych komnatach, które tylu królów widziały u siebie w gościnie, rozsiadł się dumny i nic nieoszczędzający zwycięzca.

Zamek splądrowano i złupiono do szczętu... potem nastał straszliwy pomór i wygnał z niego resztki mieszkańcow... potem jeszcze, *pobożna* ręka zaczęła z niego wyciągać kamień po kamieniu, a czas i chciwość ludzka dokonały reszty.

Dziś zamek odrzykoński świeci straszliwą ruiną; ale za to, ciosowe jego bloki przyczyniły się do wybudowania klasztoru Kapucynów w Krośnie — i o! ohydo! kilku zabudowań gospodarskich w Korczynie. — Tak to *my* szanujemy pamiątki narodowe i tak umiemy utylitarność wieku łączyć z tanim pietyzmem.

Litość i śmiech razem bierze, na widok przybitej tu od nie dawna tablicy z ostrzeżeniem: że pod karą *dwóch* zlr. zabrania się rozbierać mury zamczyska... To coś na kształt tego, jakby zabroniono nagiego obdzierać do bardziej naga.

Pod takiem przytłaczającem wrażeniem wchodzi się do tych ruin i niedziw, że ów *Machnicki* o którym pisze szeroko autor „Króla zamczyska“ — świadom ich dawnej świetności: zwaryował na widok dzisiejszego ich upadku!

Ale jak upadek każdego olbrzyma, tak i upadek tych murów, budzi jeszcze i dzisiaj podziw i poszanowanie... Ze ścian starego zamczyska nie wiele wprawdzie już pozostało, ale i ta resztka, jest zdumiewającą spuścizną wieków, zdolna i dziś jeszcze zaimponować nie jednemu, choćby strzępami swej historycznej wielkości.

Zamek, wsparty od północy na olbrzymich skałach granitowych, prawie jednolitą z nimi stanowiących masę, od tej przedewszystkiem strony przedstawia się w całym swym majestacie. O! bo i zwaliska mają swój majestat, kto wie, czy nie groźniejszy w swem opuszczeniu od niejednego majestatu, puszącego się w swej ziemskiej purpurze.

Jest coś grobowego, coś wstrząsającego do głębi w widoku tych ruin, tych rozrzuconych głazów, tych sponiewieranych pamiątek... Zamek, jak mędrzec duma na wyniosłej skale, a na skroni jego pooranej szerokiemi brózdami osiadła myśl poważna, zwrócona zastygłem wejrzeniem, w przestrzeń lat pół tysiąca!

Posadę zamczyska opasała głęboką brózdą ciągnąca się do około fosa, niegdyś zapewne napełnione wodą, dziś bujną porosła trawą, po której błądzą bezpiecznie graniaste jałówki, i miarowem brzękiem zawieszonych u szyi dzwonków, przerywają monotonną ciszę ruin.

Na samotnej wieży, jak owe orły Herburtów na zamku Dobromilskim, usłały tu sobie gniazda jastrzębie; zresztą, żadnego ptaka więcej, żadnej żywej istoty... przerażająca swem ogromem pustka.

Od południa, ale zawsze w obrębie zamku, widnieje jednolita skała, dominująca nad całym poziomem zwalisk, na której wznosiła się nigdyś strażnica zamkowa, a dziś już z niej ani śladu, ani jednej nawet cegły nie pozostało. Pamiętają ją dotąd żyjący świadkowie, bo nie dalej jak lat 50 temu rozbierać ją dopiero zaczęto.

Reszta gruzów, rozrzucona bezładnie, świeci już to jakimś wyszczerbionym murem, już wreszcie kilku trzymającymi się jeszcze w kamiennych futrynach oknami, przez które, jak przez oczy, upiora na wylot przejrzyć zamek można! Nic tu nie przypomina dawnej świetności minionych czasów... owszem, jakby na umyślnie starano się zedrzyć ztąd cały urok pamiątek, zatrzyć wszystkie ślady długiej i mozolnej pracy przodków... Bo nawet studnia, kuta do pięćdziesięciu metrów głębokości w twardym granicie, została z polecenia rządcy jednej z okolicznych wiosek, tak sobie, dla fantazyi, gruzem i kamieniami zasypana. Na wyścigi silono się o to, aby zamczysko doprowadzić do tego stanu w jakim się dziś znajduje. *)

Gdzie niegdzie, na wysokich murach, od strony północno-wschodniej, trzymają się jeszcze ciosowe blanki. Na ich ramionach wsparty, biegł tędy do około krużganek, z którego nieraz powiewały białe welony i chusty, na powitanie lub szczęśliwą drogę, miłych zamkowi gości.

Zdaleka, od południowo-wschodniej strony, roztacza się pyszny widok na pobliskie *prządki*, czyli gromadę skał dziwnie swym kształtem przypominających ludzkie postaci, o których legienda prawi, że mają być córkami któregoś z kasztelanów zamku. Gdy bowiem trzej starający się o ich rękę rycerze, idąc na wojnę, zalecili im staropolskim obyczajem uprząść pewną ilość lnu: — panny zamiast jąć się roboty, przepędzały czas na zabawach i tańcach. Na raz, z czatowni odezwał się chrapliwy dźwięk trąby, ujrzano na drodze tumany kurzu, a na czele wracającego hufca, owych trzech rycerzów, spieszących do stóp swoich bogdanek. Wystraszone panny rychłym powrotem młodzieńców, żywo wzięły się do pracy i niezważając na dzień świąteczny, gorliwie prząść zaczęły. Zatknąwszy potem u pasa wrzeciona, wybiegły radośne na spotkanie kochanków. Gdzie ich drużyna zetknęła się z orszakiem rycerstwa, tam też stoją one po dzień dzisiejszy skamieniałe, jako widome znaki przykazań Boskich: „Pamiętaj abyś dzień święty święcił.“

Na okół — jak daleko wzrok zasięga, napotyka się coraz nowe i coraz piękniejsze widoki. Rozsiane u stóp zamku liczne wsie i miasteczka, — srebrna wstęga Wisłoku odbijająca od tła ciemnej zieleni: dodają rozległemu temu krajobrazowi niemało powabu i malowniczości.

Taka jest mniej więcej topografia miejscowości i taka jak opisałem okolica zamku. Pilno mi teraz było dowiedzieć się szczegółów o Machnickim, o tym sympatycznym obłąkańcu, którego dziejom, *Goszczyński* jedno z najpiękniejszych dzieł swoich poświęcił.

Jakżem się ucieszył — znalazłszy w gronie oprowadzających mię po ruinach włościan, jednego, który dobrze z lat swych pacholęcych zapamiętał „Króla zamczyska.“

— Było to dobre panisko - mówił, — ciągle jeno z książkami się nosił, z duchami gadał i ludziom dobrze czynił. Nigdym go niewidział gniewającego się ani wyrzekającego, choć nieraz głód mu dobrze doskwierał. Wtedy, wychylał się z zamku i albo u nas w chacie albo u proboszcza w Krośnie zaopatrywał się w żywność i znowu na czas jakiś znikał pod ruinami.

— Jakże? pytałem, — to tak darmo żywiliście Machnickiego?

— A juści, że tam pieniędzy nikt nie brał, choć Machnicki był hardy i za wszystko płacił, jeno że takiemi pieniądzmi co to ich nawet żydzi brać nie chcieli. Później — jak się zaczęli goście z Iwonicza *) na ten zamek zjeżdżać, to niektóre, powykupywali od nas.

— A zostało wam co jeszcze z tych pieniędzy? pytałem.

A! mamy jeszcze trochę koprowiny; — i mówiąc to, pobiegł do pobliskiej chaty i przyniósł mi garść szelążków *Jana Kazimierza*...

Nieszczęśliwy „Król zamczyska“ okupujący sobie lichą strawę pieniędzmi nainieszczęśliwszego z królów polskich — czyż to fakt niedosyć mówiący?

Ciekawy byłem zwidzić podziemne mieszkanie Machnickiego, o którem tak tajemniczo wyrażał się Goszczyński, że niczem wobec tych dziwów były dla mnie zaklęte zamki i zaczarowane pałace legiendowych królewien.

Mój przewodnik, okazał się gotowym zaprowadzić mię do groty Machnickiego; a gdym wyraził zdziwienie, że wie o tem, co sam Machnicki najstaranniej ukrywał, odparł:

— To też ja panu samej groty nie pokażę, bo ją Machnicki opuszczając ten zamek kamieniami zawalił, a potem jeszcze, runęła w to miejsce część murów, tak, że dziś wejścia trudno się dokopać.

— A czemuż to Machnicki uczynił?

— Bo przeczuwał śmierć swoją. Zabral ze sobą księgi, udał się do Krosna i tam umarł — lat temu przeszło trzydzieści.

— A cóż się stało z książkami? badałem ciekawie.

— Książki leżały długo po śmierci Machnickiego u proboszcza — lecz gdzie się później pogziały — nie wiem.

Ten probosz, powtórnie już przez mego przewodnika wspomniany — prześladował mię na każdym kroku. Chciałem koniecznie odkryć tajemnicę, pytałem w Krośnie, ale nikt mi ani o księdzu ani o dziełach Machnickiego nieumiał dać bliższego wyjaśnienia,

Schodziłem ostrożnie z gruzów aż pod sam wyłom w murze ku stronie zachodniej wiodący; — znajduje się w niem rzeczywiście ślad wejścia do podziemnych pieczar, ale tak zawalony gruzem, że nic o niem ciekawego powiedzieć nie mogę. A ile przepaść ta kryje dziwów w sobie — to niech poświadczą słowa Goszczyńskiego, który niejednokrotnie w rozmowach poufnych, potwierdził ich prawdziwość.

Znajdowały się w tem podziemiu lochy sklepione, — więzienia zamkowe, — izba tortur i cmentarz więzieny zasypany cały stosem piszczeli... wreszcie „Królewska“ komnata Machnickiego w której „stały dwa skielety odziane całkowicie uzbrojeniem dawnych hussarzy, z kopiami tak nachylonemi ku sobie że proporce ich zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony.“ Stare kroniki — zardzewiałe miecze i inne pamiątki zamkowe, uzupełniały przystrojenie tej pieczary, która stanowiła siedzibę „króla zamczyska.“

Długo brano u nas postać Machnickiego za poetyczną fikcyę autora. Tak nie jest, Machnicki istniał w rzeczywistości — miał się istotnie za „króla“ tych ruin, — i każdy też głaz poświadczy tu o jego życiu i usiłowaniach.

Rozpatrzmyż się bliżej w otoczeniu.

Naokoło zamku, uderzają zwiedzającego nagromadzone w pewnych odstępach i systematycznie ułożone stosy kamieni, na wzór tych, jakie nasi szarwarkowi robotnicy układają na szosach. Zapytałem przewodnika o ich znaczenie:

*) Nawet starą pieczęć zamkową, z wyobrażeniem odartego ze skóry konia, legendowe godło tej miejscowości, przemieniono na inną, przedstawiającą zdaje mi się, przewrócone grabie.

*) Iwonicz — miejsce kąpielowe w pobliżu Odrzykonia.

— To robota Machnickiego, odparł — machnąwszy ręką. Chciał on ten zamek podźwignąć z gruzów i wszelki odłamek, każdą cegłę lub kamyk wyrwane burzą z murów zamczyska, znosił własnemi rękami w jedno miejsce, jako materyał do przyszłej budowli.

Takich nagromadzonych stosów naliczyłem siedem...

Dziwnie się teraz zarysowała w oczach moich postać Machnickiego. Ten warjat, ten półgłówek „skupiający w piersiach swoich boleść całego narodu“ i przemyśliwający nad tem, jakby podnieść z ruin ojczystą pamiątkę;— urósł w oczach moich do postaci legiendowej, niemal bohaterskiej. Niezapominajmy bowiem, że opowiedziane tu fakta, miały miejsce krótko po roku 1830 t. j. w epoce kiedy wszystkie moralne i materyalne podstawy społeczeństw w gruz się waliły.

Machnicki, uosobiwszy sobie w zamku odrzykociskim losy *całej ojczyzny* i chcąc go dźwignąć z gruzów, wzywał niejako: „budujcie ojczyznę!“ lecz nieznalazłszy u nikogo współczucia, bodaj na własnych barkach znosił cegły do jej przyszłej budowy...

Słowem, Machnicki zwarjował na najszlachetniejszą ideę — którą była *miłość ojczyzny*, mocniejsza nad siły człowieka, głębsza nad wszelkie pojęcie.

Działo się to lat temu czterdzieści... przestrzeń czasu nie zbyt wprawdzie odległa. — ale też warto zaznaczyć, że szaleniec taki jak Machnicki — byłby w dzisiejszych chłodnych czasach, co najmniej... anachronizmem.

Władysław Bełza.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

I któż z nas nie zna owych bladych i sinych Chrystusów, którym boleść fizyczna wyłamała bezbarwne usta, których brwi boleście ściągnięte, a którzy przecie modlą się tylko, jak o tem świadczy łzawe oko bez gniewu wzniesione do nieba? Któż nie zna owych omdlałych Magdalen, z których pulchnego jeszcze lica zeszły rumieńce, których szyje boleśnie wyciągnięte, których twarz schorzała, a których mdłe oko wciąż nieba szuka? Widne one po wszystkich galeryach świata — wprawiają jednych w miłą im tęsknotę na pół nabożną a na pół sentymentalną, a drugim sprawiają niesmak przypominając chorobę i niemoc.

Ale najcharakterystyczniejsze i najsławniejsze dzieła mistrza znajdują się we Włoszech, w Bononii i w Rzymie, i tam tylko można zrozumieć ową z pańska rozbolałą sztukę, i społeczeństwo, którego dewocyi wyrazem *il Paglione*, i którego sentymentalność wypowiada Beatryks Cenci na przedziwnym portrecie; społeczeństwo to miało jeszcze czasem sny marzące o zdrowiu, ale sny te tylko z pogańska wyrażać śmiało — w Aurorze w *Palazzo Rospigliosi.*

A zaczniemy od ideału religijnego. Mamy przed sobą na honorowem miejscu w galeryi Bonońskiej obraz wysoki a wąski, ciężką kotarą podzielony na dwie części. Kotara ta: *il Paglione* dała właśnie nazwę całemu utworowi. Na niej legło nieruchomie martwe, wapienne już, nieruchome ciało Chrystusa — nie piękne wcale a dość obojętne dla widza. Nad ciałem syna stanęła w fiolety przyodziana Marya, spokojna w wielkiej boleści, a dwa anioły o ciężkich czerwonych skrzydłach płaczą po obu bokach, i łzy sobie ocierają tworząc wraz z Matką Boską spokojne i rytmiczne linie na tle posępnego krajobrazu. Madona blada, załamała ręce i szuka pociechy w niebie. Nie jest to bogini ni święta w cudowną moc uzbrojona, nie jest cudotworczyni żadna, ani mistyczna dzieweczka; — jest to po prostu piękna i wspaniała ale ziemska matka, najprędzej jakaś królowa wygnana i pozbawiona berła, płacząca nad ciałem syna — podobna w smutku swojem do Italii siedmnastego wieku — i tak jak ona szukająca pociechy w niebie. Tak jak ona, powinien człowiek się zachować w nieszczęściu, i ona tedy była ideałem nieszczęśliwych już, możnych jeszcze, a zawsze nabożnych. Ten sam ideał widać i na dole pod kotarą, choć tu ludzie w innej schwyceni chwili: Rozmyślają. Współczesny prawie Karol Boromeusz klęczy po środku z krzyżem w ręku, w stroju nowożytnego księdza, w koronkowej sutanie i w czarnym birecie, i patrzy sentymentalnie na krucyfiks. Po dwu stronach modlą się w ornatach Dominik i Franciszek, a święty Pokulus, młodzieniec piękny, stanął zadumany w starożytnej zbroi, i dziwnie odbija od nowożytnych zupełnie mnichów i księży.

Nie są to wcale święci w niebie wśród wiekuistego szczęścia: są to przeciwnie ludzie żywi, w oratoryum pałacowym rozmyślający o męce Pańskiej. Są to dobrze wychowani, ogładzeni, a rzetelnie nabożni księża z czasów Filipa III, Zygmunta III i Henryka IV, co się zupełnie przejęli przedmiotem rozmyślania, a przecie zostali na ziemi pełni w służbie pańskiej świeckiej mądrości. A rycerz, co pośród nich stoi, to rycerz w rodzaju Zamojskiego, Egmonta i Spinoli, mąż co żyjąc wśród intryg i bojów nie zapominał dotąd o duchu odrodzenia, drapował się czasem w starożytnego republikanina a wciąż pamiętał o Bogu i wierze, o męce Pańskiej i spornych wówczas tajemnicach łaski i zasługi, wolnej woli i przeznaczenia.

Ludzie ci nie żyli już w mistycznej ekstazie Franciszkanów, i nie umieli z Dominikańska zamierać dla świata — żyli pod łaskawszym i ogładzonym rygorem towarzystwa Jezusowego i dawali sobie rozgrzeszenie do przyzwoitych zabaw świata i pogańskich uciech mitologicznej literatury. Gdy w świat szli spotykali kobiety blade, wychuchane, o ustach wstydliwych niby a żądnych całusu, o oczach wiecznie łzawych i czułych, a roszkosznie cienkiej szyi, niepodobne do bogiń odrodzenia, salonowe, rozmarzone Tassem. I taką niewiastą żądną litości, niezrozumianą w życiu nieszczęśliwą z pańska i romantycznie owa Beatryks Cenci w Palazzo Berberini w Rzymie, nad którą zwisł już topor kata, a której głowę owinął biały zawój. Wszystko tu białe — i serca, i strój skazanej, ale wiesz że wielka czerwona plama krwi wystąpi wnet na szyi i szacie; — i jakżeż się nielitować, i jakżeż się niezakochać w tej skazanej panience, w tem dziecku, idącem na rusztowanie, lilijce uszczkniętej ręką kata?

Ale człowiek ówczesny, gdy był chrześcijańskim rycerzem i panem dworskim lub jego giermkiem, nietylko w ciemnem oratoryum przepędzał swój czas, i tylko w bladych a słabych dzieweczkach się kochał. Zagrała w nim jeszcze czasem krew bojowa przodków średniowiecznych, i gnał na łowy, albo w bój, i dychał powietrzem borów i stepów: Wszak Szekspir i Cerwantes i Corneille wiedieli jeszcze jak wygląda rycerz prawdziwy — i musiał wiedzieć o tem Gwido Reni; musiał znać zdrowie bojowe, i tętęt kopyt końskich i ostry oddech poranku i musiał choć raz w życiu zdrowie owo odmalować na suficie w pałacu Rospigliosi. Wśród chmur pędzi tu Apollo, na rydwanie złocistym ciągniony przez bułane konie, otoczony przez pląsające Godziny w klasycznym stroju. Przed nim ulatuje Zorza z pochodnią, pod nim rozlega się krajobraz włoski z morzem błękitnem i ciemnemi górami rozjaśniony pierwszym połyskiem poranku — a wiatr porusza i włosem bogów, i szatą ich i grzywą rżących koni. To niby łowy pańskie, to niby gonitwy rycerskiej młodzieży — co wyszła z Jezuickiego kolegium — albo raczej to sen, co się jej przyśnił gdy usnęła po winie, palestrze i Eneidzie. Jeźli Francia był malarzem Dominikanów, jeźli Perugina malował Franciszkańskie ekstazy, Gwido Reni wyraził pęzlem myśl Jezuitów.

Gwido Reni podobnie jak Rafael był otoczony mnogim orszakiem, czyli raczej zupełnym dworem naśladowców i uczniów. Tylko że uczniowie Reniego zachowali i rozwinęli więcej samoistności choć stali wyraźnie pod jego wpływem. Najsłowniejszym i najzdrowszym był Dominichino, który władał kolorytem tak silnym, jędrnym i prawdziwym, jak żaden włoski malarz pierwszej połowy siedmnastego wieku—kolorytem prawdziwie weneckim, tylko bardziej cielesnym i zarumienionym. Najlepiej go można poznać w pałacu Borghese. Tam to widać silną i rumianą Sybillę, co krzyczy nad księgą pośród altany włoskiej—natchniona i chwycona na gorącym uczynku; tam to Diana wyprawia na wielkim płótnie bujne łowy: las szumi do koła, wody płyną bystro, charty rwą się na smyczy, nymfy strzelają do zwierzyny, a sama Bogini skacze podrzucając broń. Siła tu obca współczesnym, zieloność borów prawdziwa i rycerskość wieku oddana w takiej pełni, że Gwido Reni stanąwszy przed obrazem zawołał: „My malujemy jak ludzie a Dominicchino jak bóg jaki maluje.“

Ale ów hartowny Dominichino malował także i dla Jezuickiej dewocyi, i najgłośniejszym był właśnie dewocyjny obraz, a mianowicie: komunia św. Hieronima w Watykanie.

Oaraz ten malowany z przedziwną prawdą i z łudzącym realizmem, choć przedstawia mistyczną legendę, przenosi nas na ziemię, pomiędzy jezuitów.

Widzimy przed sobą księdza w złocistem palium, podającego hostyą nagiemu, klęczącemu, konającemu starcowi. Ksiądz podobny do jakiegoś prałata, a starzec jedną nogą stanął na prawdę w grobie. Ciało zwisło z kości, za życia prawie trupieszeje, i gdyby aniołki podobne do chłopców z zakrystyi, starca nie podpierały, nie mógłby klęczyć. Śmierć skurczyła mu ramiona, oczy stanęły w słup, szczęka dolna drży w agonii, ale silna wiara trwa jeszcze i piętnuje sobą wyraz pustelnika. Resztę obrazu zapełniają konwiktorowie w sutankach, służący do mszy, zdrowi i zdziwieni, i pyzaci aniołkowie co dla dekoracyi ulatują u góry. (Dok. nast.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

(Ciąg dalszy.)

Sztuki piękne na wystawie paryzkiej.

I.

Powszechna wystawa paryzka była właściwie powszechną w jednym tylko swym dziale, w galerjach sztuki. W innych jej działach, rozmaite kraje, a przedewszystkiem Germania, nie wzięły—jak wiadomo—żadnego udziału, niosąc tem samem uszczerbek jej przymiotowi uniwersalności. Natomiast w galeryi obrazów i rzeźb nietylko wystąpiła do konkursu ojczyzna „żelaznego księcia“, ale nawet ludy takie jak Japonja, Chiny, Gwatemala, Haiti, nie mówiąc już o Paragwaju, Uragwaju, Tunisie, Persyi etc. Szkoda wielka, że Buszmeni, Papuasi i antropofagi Dagomejczycy nie wpadli na koncept wysłania utworów swej plastyki, tembardziej szkoda, że ponieważ w wyobraźni ludożerców kiełkować także musi poczucie plastycznego piękna—przeto produkcye estetyczne takich np. Dagomejczyków mogłyby może służyć za znakomite *pendant* do utworów krwiożerczych malarzy francuskich, a nadto dodałyby jeszcze więcej blasku uniwersalności uniwersalnej wystawie. Mielibyśmy tedy i więcej krwi i więcej blasku, co ostatecznie wynagradzałoby nas choć w części.

A naprawdę do sowitego wynagrodzenia rościć sobie mogą prawo ci, co zwiedzali wystawę. Przedewszystkiem za zawiedzione nadzieje. Tyle spodziewano się, na tyle świetnych wysoce artystycznych wrażeń przygotowywano swe oczy,— a tymczasem spotkał tak fatalny zawód. Wystawa tegoroczna pod względem sztuki stoi nietylko niżej od sławnej wystawy 1855 r., ale nawet od ostatniej paryzkiej i wiedeńskiej, — i to nietylko pod względem jakości wystawionych obrazów i rzeźb, ale nawet pod względem ilości. Na wystawie wiedeńskiej znajdowało się niespełna 7000 przedmiotów sztuki, a w tej liczaie 3400 olejnych obrazów i do 1000 rzeźb; natomiast na tegorocznej wystawie liczono ogółem 6000 wystawionych przedmiotów, a w tej liczbie zaledwie 2900 olejnych obrazów i około 900 rzeźb.

Ponieważ już weszliśmy na pole statystyki, pozwólmy więc sobie rozejrzeć się na niem nieco dokładniej. Wszak i inwentarze są nieraz wymowne. Owoż pod względem inwentarzowym wystawa paryzka różni się tem od wiedeńskiej, iż podczas gdy w galeryach Prateru pierwszeństwo liczebne trzymały utwory niemieckich malarzy i rzeźbiarzy, natomiast nad Sekwaną Francuzi górują. Na wystawie wiedeńskiej Niemcy wraz z Przedlitawią wystawiły obrazów 1,166, a rzeźb 370; w Paryżu zaś zaledwle 283 obrazy i 70 rzeźb. Odwrotny stosunek istnieje dla sztuki francuzkiej. W Wiedniu reprezentowało ją 657 obrazów i 206 rzeźb, w Paryżu zaś 861 obrazów i 389 rzeźb wypełnia galeryą francuzką, nie licząc zwykłego dorocznego *Salonu*, w którym znajdowało się 2330 obrazów i 645 rzeźb. Nic dziwnego zresztą, — przecież oficyalny katalog wystawy wydany staraniem komisarjatu jeneralnego chełpi się tem, że Francya posiada 5000 malarzy, więcej przeto niż cała kula ziemska, nie wyjmując przeto Haiti, Gwatemali i innych tym podobnych krajów, wciągniętych do estetycznego inwentarza.

Ale statystyka nietyle pouczające pazedstawia wykazy w dziale francuzkim i niemieckim, co przedewszystkiem w innych działach. W dziale włoskim zdradza np. przed nami wyraźny upadek; na wystawie wiedeńskiej Włosi mieli 340 obrazów i 250 rzeźb; w Paryżu zaś wystawili zaledwie 190 obrazów i 180 rzeźb. Taki sam upadek dostrzega się w dziale holenderskim. Natomiast Węgrzy zmniejszenie liczby okupują podwyższeniem wartości. Anglicy zaś i pod względem ilości i pod względem jakości świetniej wystąpili w Paryżu niż Wiedniu. Do Paryża przywieźli 283 obrazy i 46 rzeźb, podczas gdy w Wiedniu mieli zaledwie 180 obrazów i 25 rzeźb. Taki sam mniej więcej stosunek przedstawia Belgia i Hiszpania. O wiele zaś jeszcze korzystniejszy przedstawia Rosya (w Wiedniu 107 obrazów i 43 rzeźb, w Paryżu 155 obrazów i 52 rzeźb) i Stany Zjednoczone, które w Wiedniu *kątem* ulokowały swych 17 obrazów, podczas gdy w Paryżu rozwiesiły 127 obrazów na ścianach osobnej i dużej sali.

A cóż my? Oh! my bardzo smutnie zaprezentowaliśmy się światu na tegorocznej wystawie—rozumie się pod względem liczby, boć przecie mówimy teraz językiem statystyki. Owoż wystawiliśmy w trzech działach, w austryackim, niemieckim i moskiewskim ogółem zaledwie 20 obrazów olejnych, 14 rzeźb, jednę akwarelę (Tepy) i sześć drzeworytów (Hołewiński, Redlich i Sawicki). I w tej liczbie są tacy jak np. Antokolski (6 rzeźb), których właściwie nie należy do Polaków zaliczyć, po prostu dla tego, że się sami do nich nie zaliczają. Ten żydek wileński przyjął prawosławie i uważa się za Moskala. Jest tedy kwestyą godności naszej, abyśmy się o niego nie dobijali. O kilku zaś malarzach, z których jeden nieraz zalicza się do Moskali, a drugi do Niemców nie wspominamy po imieniu na razie, bo nie chcemy ich kompromitować niewcześnie; dotąd bowiem nie wyparli się oni oficyalnie swej narodowości, być więc może, że zbudzi się w nich jeszcze przywiązanie do ziemi, która ich wykarmiła. Po odtrąceniu zaz dzieł owych ekspatryowanych artystów, pozostanie przy nas 18 obrazów l 8 rzeźb, ale za to pędzla Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Gierymskiego, Gersona, Grabowskiego etc. Imiona te bądź co bądź warte legiona. Ileż jednak mamy jeszcze malarzy i rzeźbiarzy, którzy z powyższymi mogliby stanąć w szeregu i dodać jeszcze więcej świetności imieniowi Polski. Lecz już jakoś widocznie nie szczęściło się nam z tegoroczną wystawą. Jakieś chyba nieprzyjaźne fatum ciężyło nad naszymi artystami. Rodakowski nie skończył na czas swego Leona Sapiehy; Matejko — bitwy Grunwaldzkiej. A przecież to ostatnie arcydzieło byłoby nietylko odnioslo palmę pierwszeństwa z całej wystawy w opinii znawców, ale nadto byłoby niewątpliwie stanowiło *the greatest attraction* dla tego 16 milionowego tłumu, który wystawę zwiedził, a który *fante de mieux* zachwycał się skandalicznym i o lichej fakturze obrazem Makarta.

Ale wróćmy do ogólnej charakterystyki wystawy. Potem dopiero będziemy mówili specyalnie o każdem dziale; przyjdzie więc tedy kolej i na Makarta. Jednakże wzmianka o nim ułatwia nam przejście. Jego obraz, *Wjazd Karola V. do Antwerpii*, był największym magnesem na wystawie. Przed nim zbierały się tłumy. Nieraz całemi godzinami czekać wypadało, zanim można było docisnąć się do szeregu krzeseł, ustawionych wyjątkowo tylko przed jego obrazem. I tłumy te nie zbierały się z warstw najniższych, lecz przeciwnie składały się najczęściej z klas wykształconych. Czemże Makart ściągał do siebie tę publiczność? Skandalem, — odpowiadali krytycy francuscy; genjuszem — twierdzili krytycy niemieccy. Jest on Offenbachem w malarstwie, mówili pierwsi, jest on Tycyanem niemieckim XIX wieku, utrzymywali drudzy.

Tak diametrialnie sprzecznych zdań pogodzić i sprowadzić do wspólnego mianownika niepodobna. Niepodobna tedy także zamknąć sporu, który już od lat trzydziestu toczy się między Germanią a Francyą co do pierwszeństwa w malarstwie. Któremu z tych dwóch narodów przyzna potomność palmę zwycięstwa, którémi imionami ochrzci ona nasz wiek w dziejach sztuki, tego na razie przesądzać nie możemy. To wszakże pewna, że tak jak rzeczy dzisiaj stoją, to kampania wcale nie jest jeszcze zamknięta. Każdy z tych krajów ma za sobą parę walnych bitw wygranych — Francya wystawę paryską z r. 1855, Niemcy wystawę wiedeńską — żaden jednak nie odniósł jeszcze stanowczego zwycięstwa, a wystawa tegoroczna nie posunęła sprawy ani o krok naprzód ku rozstrzygnięciu. Przysłużyła się chyba w tej mierze o tyle tylko, że — jak to wykażemy w specyalnym opisie — dostarczyła nowych dowodów na poparcie twierdzenia, iż są działy w sztuce malarskiej, w których Francuzi są górą, a znów inne, w których Niemcy prym wiodą. Złożyła jeszcze raz świadectwu temu — co zresztą twierdzono już powszechnie na wystawie wiedeńskiej — że Francuzi w ogóle stoją na wyższym stopniu estetycznego wykształcenia, imponują swoim gustem, niedoścignionem zbadaniem tajemnic kolorytu, swoją nieskończoną techniką i nieporównaną biegłością w rysunku; natomiast Niemcy przewyższają ich głębokością swej psychologii, umiejętnem wpatrywaniem się w estetyczne strony życia, dzielnem wyzyskaniem zdobytych na tem polu spostrzeżeń, a wskutek tego obdarzaniem swych utworów bogatą wewnętrzną treścią, wreszcie ciepłem, prawdą i takiem swojskiem, takiem poczciwem uczuciem. Obrazy francuzkie imponują i zdumiewają, mogą nawet zachwycić, ale rozgrzać nigdy; natomiast utwory niemieckich malarzy — jeżeli nie bujają w sferze allegoryi, bo tej pod karą śmierci estetycznej Niemcom dotykać nie wolno, są tak mile, tak przedewszystkiem swojskie, że zdaje się zapraszają widza do siebie, otwierają przed nim swe podwoje, wprowadzają go do siebie, na swoje tło, pomiędzy swój personal, wśród którego wydaje mu się, jak gdyby bawił w gronie swych dobrych starych znajomych. To też dzięki tym przymiotom, *genre* niemiecki stoi o całe niebo wyżej od francuzkiego i wśród całego tegoczesnego malarstwa europejskiego rościć może dla siebie pretensyą, że choć w części odziedziczył tajemnicę sztuki Teniersów i van Ostadów.

Taki wniosek z porównania sztuki francuzkiej z niemiecką, wyprowadzano sobie podczas wiedeńskiej wystawy i taki też wyprowadzano obecnie, na wystawie paryskiej. Stosunek wzajemny obu tych szkół nie zmienił ani na jotę — co zresztą jest zupełnie naturalnem. W tak krótkim, zaledwie pięcioletnim peryodzie, sztuka nie mogła ubiedz na drodze swego rozwoju przestrzeni tak wielkiej, aby zmiana czuć się dała, zwłaszcza, że i w życiu społecznem obu narodów nie zaszło nic takiego, coby do zmiany pochop dać mogło. To też pod względem wzajemnego stosunku sztuki francuzkiej do sztuki niemieckiej, wystawa paryzka tak dalece podobną jest do wiedeńskiej, że nie tylko imiona malarzy idą niemal w tym samym alfabetycznym szeregu w obu katalogach, ale nawet mnóstwo tych obrazów, które były już w Wiedniu, wystawiono powtórnie w Paryżu. A że w takich warunkach ani stosunek nie mógł się zmienić, ani szala zwycięstwa nie mogła się przechylić, bądź

na jednę bądź na drugą stronę, to już się samo przez się rozumie.

Mówiliśmy dotąd o Francyi i Niemcach jako o dwóch narodach, u których sztuka malarska stoi dzisiaj najwyżej, i które przeto w tej mierze prym wiodą w dzisiejszej Europie. Dokoła nich grupują się inne ludy, bądź ślepo je naśladując, bądź starając się dopiero rozniecić w sobie ducha samodzielności. W pierwszym wypadku znajdujące się i przyprzągnięte do rydwanu Niemiec — Szwecya i Dania; a do rydwanu Francyi — Belgia i Włochy, dzieliły losy jakie spotykały ich mistrzów, mierzone były tą samą skalą, na której zaznaczano tych ostatnich postępy. Natomiast narody drugiej kategoryi, a więc budzące w sobie ducha samodzielności, jak Polacy, Węgrzy, Anglicy i Hiszpanie, podlegały na powtarzających się peryodycznie wystawach rozmaitym fluktuacyom, zależnym od ilości i siły natchnienia artystycznego, jakie w sobie w międzywystawowych antraktach wzniecić zdołały. To też dla każdego myślącego badacza galerye tych narodów najwięcej zawsze budzą interesu, najwięcej bowiem gotują niespodzianek. W galeryach Francuzów, Niemców i ich akolitów, wie się już mniej więcej naprzód co się spotka. Natomiast w galeryach owych czterech narodów nic naprzód przewidzieć nie można, z ich inwentarza na jednej wystawie niepodobna nigdy stawiać horoskopu co do ich inwentarza na wystawie następnej. U nich i malarze rodzą się jak grzyby po deszczu i stają w szranki odrazu wielcy i potężni. Któż mógł przypuszczać, jadąc do Paryża na wystawę 1867 r. że na niwie polskiej zrodzi się, odrazu uzbrojony od stóp do głowy, z bogatą paletą i potężnym pędzlem mistrz taki jak Matejko? Któż mógł przypuszczać, że ta sama niwa polska wyrządzi Europie drugi raz podobną niespodziankę z Siemiradzkim na wystawie wiedeńskiej? Gdyby teraz ktoś, zawiedziony tak przyjemnie tą dwukrotną niespodzianką, naprzód się cieszył nadzieją naszych tryumfów sztuki polskiej i z tą nadzieją jechał na wystawę tegoroczną, spotkałaby go znowu niespodzianka, ale już w odwrotnym kierunku. Znalazłby albo już rzeczy acz genialne ale znane (jak Unia Lubelska) albo też nowe, ale za to nie dorastające do miary poprzednich arcydzieł. Sztuka francuska lub niemiecka nie podlegały od wystawy do wystawy żadnym fluktuacyom wyraźnym, namacalnym; płynęły ciągle naprzód, w łożysku utartych formułek, a w kierunku powolnego lecz za to ciągłego doskonalenia się i postępu. Natomiast sztuka polska fluktuowała niepospolicie, do niedawna nieznana w Europie, stanęła od razu silnie i wysoko, wezbrała w jednem mgnieniu oka jak potok górski, a potem jak taki potok nagle...... Przecież nie wyschła. *Pochodnie* Siemiradzkiego, *kozacy* Brandta, *nagrobek* Brodzkiego, *biusty* Rygiera uratowały ją. *Bitwa Grünwaldska* byłaby ją nawet utrzymała na tej samej wysokości, na której stała ona na poprzednich wystawach. Ale *Bitwa* nie przybyła, a na wystawach bilans układa się z tego, co jest a nie z tego co byćby mogło.

Na przykładzie naszej sztuki wykazaliśmy jaki interes budzą na wystawach narody o sztuce fluktuacyjnej. Wzięliśmy dla przykładu naszą sztukę, bo w niej owe fluktuacye wybitniej były naznaczone; natomiast u Węgrów, Hiszpanów i Anglików o wiele mniej. Niemniej przecie nikt nie przypuszczał, że te trzy narody tak świetnie wystąpią na tegorocznej wystawie. Ktoby opierając się na poprzednich wystawach chciał przed otwarciem tegorocznej wystawy stawiać dla tych narodów horoskop, doznałby niepospolitego a zarazem wielce przyjemnego zawodu. Munkacsy był ceniony i lubiany jako mistrz sympatyczny i dobry psycholog, ale któż mógł przypuścić że wzniesie się on tak wysoko jak to uczynił w Miltonie? Tembardziej już nikt przewidzieć nie mógł, że Węgrzy dodadzą mu do pary Benczura, malarza, wprawdzie jeszcze nie tej samej miary co Munkacsy, ale za to bodaj czy nie obdarzonego większemi zdolnościami. Któż także mógł przypuszczać, że tak zwykle podrzędną rolę na wystawach grająca sztuka hiszpańska, popisze się tym razem plejadą pokrewnych duchem i kolorytem malarzy, tak oryginalnych, że daremnie szukalibyśmy w dziejach ogólnej sztuki, a tembardziej w dziejach ich ojczystej sztuki dla nich porównania?

Wszystko to co powiedzieliśmy o narodach fluktuacyjnych, należy wielce zmodyfikować gdy mowa o Anglikach. Fluktuacyi tu nie ma właściwie żadnej, niemniej przecie jest niespodzianka. Anglicy znani byli zawsze jako znakomici akwareliści. Tymczasem teraz okazało się, że i olejne malarstwo uprawiane jest u nich z niepospolitą wprawą. Ich *genre* stoi o wiele wyżej od francuskiego i ma te same co *genre* niemiecki przymioty, jakkolwiek nie jest do niego podobny. Jest w nim coś *sui generis*, nieraz coś z psychologii Dickensa, a nieraz coś z Thackeraya.

Do kategoryi narodów rozwijających samodzielną sztukę rościć mogliby jeszcze dla siebie prawo Moskale i Amerykanie, i chętnie byśmy je im przyznali, gdyby..... gdyby ich samodzielność nie należała jeszcze do przyszłości. Dotąd nie zdobyli się oni na własny rodzimy styl.

Tyle ogólnych uwag. Przejdźmy teraz do szczegółowego opisu każdej po kolei galeryi.

(C. d. n.)

OSTATNI KWIATEK.

Tchem jesieni przepomniany
Wśród ogólnej niw zagłady,
Pod mem oknem, u mej ściany
Uchronił się kwiatek blady.

W koło mroźny wicher hula,
I szaruga mży bez końca,
A on listki swe roztula,
Modrą główką szuka słońca.

W koło wszystko, co oddycha,
Wskróś przejmują zimy dreszcze,
A on kielich przegiął z cicha,
Rad motylki wabić jeszcze.

Kwiatku! kwiatku! mój malutki!
Przecz te spory z przeznaczeniem?
Prawda! Żywot ten za krótki.
Prawda! Wiosna jednem mgnieniem

Lecz gdy tak chcą sądy Boże,
Gdy im każdy dług swój płaci,
Przecz więc jeden w stworzeń zbiorze
Miałbyś lepszym być od braci?

Przecz więc jeden z sadów, z gajów,
Na popiołach twej drużyny,
Miałbyś z złotem słońcem majów,
Wiecznie święcić ślubowiny?

Na sąsiednim, spojrzyj, krzaku,
Ongi, róża kwitła młoda,
Ach! motyli wciąż, jak maku,
Przywabiała jej uroda.

Pośród trawek, po nad zdrojem,
Ongi, fiołek krył się mały,
Pszczoły z pasiek gęstym rojem
W odwiedziny doń latały.

W borze wreszcie u krynicy,
Gdzie ten krzyżyk stał ustronny
Wiatr tam lilii pustelnicy,
Zginał ongi kielich wonny.

Dzisiaj, co z nich? Ach! Nie dużo,
Suchych łodyg kościotrupy,
Zwiędły listek zwiany burzą
Na śmiecisko gdzieś do kupy.

A ty wieczne śniąc rozkwity
Chciałbyś jeden, brzydki sobek,
Wśród tych ruin niespożyty,
Niby żywy tkwić nagrobek?

A ty chłodem serca dzielny
Gdy umiera wszystko w koło,
Chciałbyś jeden, nieśmiertelny,
W ciągłej wiośnie kąpać czoło.

Nie kwiateczku! nie kochanie!
Zbytnich żądasz przywilei.
Gdyś jak inni miał świtanie,
Miej jak inni noc z kolei.

Zwiń listeczki! Próżne boje!
Nie przemożesz praw wszech świata!
Za spełnione życia zdroje
Płać! Ostatnia przyszła rata.

Jeśliś w łonie twem, przed zimą,
Wyhodował ziarnka hoże,
Daj je wiatrom, co mkną mimo,
Niech je sieją po przestworze.

Kto wie, gdzie z nich które padnie,
I w jakiej się przyjmie roli,
Los, co wszystkiem, wszędzie, władnie,
Możeć odżyć w nich pozwoli.

Tak. Być może. Twórcza matka
W mocnej je popieści dłoni,
I z jednego dzisiaj kwiatka
Jutro całych sto wyłoni.

Gdy przeciwnie, gdyś ni tyle
Nie przechował na zasiewy,
Jeźliś lata trwoniąc chwile
Puste tylko spłodził plewy.

A, to nie marz o przyszłości,
I rad. nie rad, stary dziadu,
Śpiesz rozpłynąć się w nicości.
Bez pamięci i bez śladu!

Paryż d. 20. października 1878.

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

(Dokończenie).

V.

Dwa lata upłynęły odtąd. Pewnego grudniowego poranku mały cmentarz spał wśród wielkiego zimna. Od poprzedzającego dnia śnieg padał; śnieg drobny, gnany wiatrem północnym. Niebo bladło, białe płatki padały lekko jak pióra. Śnieg twardniał powoli i puszek łabędzi pokrył mur terasy. Po za tą białą linią Paryż rysował się na mglistym horyzoncie.

Pani Rambaud modliła się jeszcze, klęcząc na śniegu, przed grobem Joanny. Mąż jej powstał przed chwilą i czekał milcząc. Pobrali się w listopadzie w Marsylii. Pan Rambaud sprzedał był swój dom w Paryżu i teraz bawił tu od trzech dni, dla ukończenia tego interesu. Powozem, który czekał na nich na ulicy Réservoirs, mieli zajechać do hotelu po tłomoki i udać się potem na kolej. Helena przybyła tu jedynie po to, by uklęknąć na grobie córki. Klęczała nieruchomie, ze spuszczoną głową, i tak głęboko zamyślona, jak gdyby pod kolanami swemi nie czuła chłodnej ziemi.

Tymczasem wiatr ustał. Pan Rambaud podszedł ku terasie, chcąc zostawić żonę samą ze wspomnieniami jej. Mgła podnosiła się nad dalekiemi okolicami Paryża, który zanurzał się w tym obłoku. U stóp Trocadero miasto koloru ołowianego zdawało się leżeć umarłe pod ostatniemi płatami powolnie spadającego śniegu. Przy zupełnie nieruchomem powietrzu płaty te blado odbijały od ciemnego tła nieba; spadały one, kołysząc się nieznacznie ale nieustannie. W dali, po za kominami piekarni wojskowej, której wieże z cegły przybrały barwę starej miedzi, białe te spadające masy zgęszczały się coraz bardziej, podobne do ruchomej gazy, rozwijającej się nitka za nitką. Ani jedno tchnienie nie podnosiło się z tego deszczu, zaczarowanego w powietrzu, co jakby kołysząc się padał spiący. Płaty zdawały się zwalniać lot swój, zbliżając się do dachów; miliony ich układały się bezustannie, jeden za drugim i tak cicho, że listki opadających kwiatów większy sprawiają szmer; najwyższy spokój, zapomnienie o życiu i ziemi, spływały z tej masy ruchomej, której biegu nie słychać było wcale. Niebo rozjaśniało się co raz bardziej ze wszystkich stron, powlekając się barwą mleczną, którą urozmaicały tylko smugi dymów. Powoli wysepki domów zaczęły występować, miasto ukazywało się w prostej linii, poprzecinane ulicami i placami; okopy jego i pasy cieniów zarysowały olbrzymi szkielet cyrkułów.

Helena zwolna podniosła się. Na śniegu pozostał ślad jej kolan. Otulona wielkim ciemnym płaszczem, futrem oszytym, zdawała się być bardzo wysoka; ramiona jej wspaniale uwydatniały się na tem białem tle. Plecionka z aksamitu czarnego u kapelusza, tworzyła koronę nad jej czołem. Na twarz wrócił dawny spokój, dawna pogoda do siwych oczu; podbródek okrągły, dosyć duży, wyrażał rozsądek i stałość. Kiedy obróciła głowę, profil miał znowu poważną czystość linii posągu. Krew zdawała się drzemać pod bladymi policzkami; dusza schroniła się pod dawny puklerz godności. Dwie łzy stoczyły się z powiek; spokój wypływał z dawnej boleści. I tak stała przed grobem; była to prosta kolumna, a na niej dwie daty, wskazujące krótkie życie dzieweczki, co zmarła, mając lat dwanaście.

Biały cmentarz rozlegał się dokoła; całun jego dziurawiły tylko pordzewiałe groby i żelazne krzyże wyciągnięte jak ramiona żałobą, okryte. W pustyni tej jedna tylko była dróżka wyciśnięta stopami Heleny i pana Rambaud. Było to głuche ustronie, w którem spali umarli. Chwilami szmata śniegu spadała z drzewa nadto obciążonego; najmniejszego ruchu nie było dokoła. Na drugim końcu cmentarza przeszedł czarny orszak i grzebano pod tym całunem. Inny kondukt znowu ukazał się po lewej stronie. Trumny i orszaki przesuwały się w milczeniu, jak cienie na białej ścianie.

Helena otrzęsała się właśnie z zadumy swojej, kiedy spostrzegła koło siebie żebraczkę jakąś. Była to matka Fétu, której kroki tłumił śnieg, pomimo grubych męzkich trzewików; popękane były i ponaprawiane szpagatem. Nigdy jeszcze nędza jej nie wydała się Helenie tak straszną, nigdy łachmany, co ją okrywały, tak brudnemi; utyła jeszcze i miała minę ogłupiałą. Podczas złej pogody, silnych mrozów, deszczów ulewnych, stara chodziła teraz za konduktami, spekulując na litość miłosiernych ludzi; wiedziała, że na cmentarzu obawa śmierci skłania do dawania jałmużny; zbliżała się do ludzi klęczących nad grobami i to w chwili, kiedy wylewali łzy, bo wówczas nie mogli odmówić jej. Teraz weszła z ostatnim orszakiem i od chwil kilku już z daleka czatowała na Helenę. Ale nie poznała była dobrej pani; z cicha łkając, z ręką wyciągniętą opowiadała jej, że ma u siebie dwoje dzieci, które umierają z głodu. Helena słuchała ją zadziwiona zjawiskiem tem. Biedne dzieci marzły bez ognia, starsze umierało z suchot. Nagle matka Fétu zatrzymała się; tysiączne zmarszczki jej twarzy poczęły drgać pracowicie; małe oczka mrugały. Jakto! wszakże to dobra pani! Niebo wysłuchało jej modłów! I nie układając już dalej historyi o dzieciach, zaczęła jęczeć, sypiąc niewyczerpaną moc słów. Ubyło jej jeszcze zębów, i zaledwie zrozumieć ją można było. Wszystkie klęski świata tego spadły na jej biedną głowę. Pan jej odprawił ją, i przez trzy miesiące leżała w łóżku; tak choroba nie opuściła jej, teraz ruszało się coś w niej, jedna sąsiadka powiedziała, że z pewnością pająk wlazł przez jej usta, kiedy spała. Gdybyż mogła mieć choć odrobinę ognia, byłaby ogrzała sobie żołądek; to jedno pomagało jej. A tu nic a nic, ani szczypki. Może pani podróżowała? Ale to już jej rzecz. Nareszcie spotyka ją zdrową i świeżą i piękną. Bóg jej to wszystko odda. Widząc, że Helena wyjmuje sakiewkę, matka Fétu odetchnęła i oparła się o kratę grobu Joanny.

Kondukta już odeszły. Gdzieś niedaleko, słychać było równe uderzenie rydla grabarza, którego widać nie było. Tymczasem stara nie spuszczała oka z sakiewki. Chcąc zwiększyć jałmużnę, udawała pieszczotliwie głupowatą; mówiła o drugiej pani. Nie można powiedzieć, pani ta była miłosierna, ale cóż, kiedy nie umiała dawać, pieniądze jej nie przynosiły szczęścia. Mówiąc to ostrożnie, patrzała na Helenę. Potem odważyła się wspomnieć doktora. Oh! ten, to dobry był jak cukierek. Przeszłego lata znowu podróżował ze swą żoną. Mały ich rośnie, śliczne dziecko. Ale palce Heleny otwierając sakiewkę, zadrżały, i matka Fétu nagle zmieniła głos. Pomięszana, przestraszona, teraz dopiero zrozumiała, że dobra pani była tu u grobu córki swej. Zająknęła się, westchnęła i usiłowała pobudzić ją do łez. Pieszczota śliczna, z temi cudownemi rączętami, co to jej dawały białe pieniążki. A jakie długie włosy miała, jak patrzyła na biednych swemi wielkiemi oczami, pełnemi łez! Oh! nikt nie zastąpi podobnego anioła; takiego drugiego nie znaleść w całem Passy. Kiedy nadejdą piękne dni, ona w niedzielę narwie u okopów bukiet stokrótek i przyniesie tutaj. Umilkła, Helena milczącym giestem przerwała jej mowę. Cóż to? nie umiała trafić na to, co trzeba było powiedzieć? Dobra pani nie płakała i dała jej tylko dwadzieścia susów.

Pan Rambaud tymczasem zbliżył się do terasy. Helena podeszła ku niemu. Na jego widok oczy matki Fétu zabłysły. Nie znała go, tego pana; to musiał być nowy. Włócząc nogami, szła za Heleną, życząc jej wszelkich łask nieba; kiedy już była przy panu Rambaud, znowu zaczęła mówić o doktorze. Ten! toby miał ładny pogrzeb, gdyby umarł, i biedni ludzie, których leczył darmo, szliby za jego ciałem! Był trochę birbantem, temu nikt nie zaprzeczał. Panie z Passy znały go dobrze. Ale to mu nic nie przeszkadzało wcale ubóstwiać żonę, tej tak ślicznej pani, która była mogła źle prowadzić się, a nie myśliła o tem wcale. Para prawdziwych! turkawek. Czy pani widziała się z nim? Muszą być u siebie, żaluzye u okien ich podniesione. Tak kochali panię dawniej, tak byliby radzi uścisnąć ją! Tak cedząc urywanemi słowami, matka Fétu z ukosa spoglądała na pana Rambaud. Słuchał ją ze swą spokojną miną uczciwego człowieka. Wywołane wspomnienia, żadnego cienia nie rzuciły na pogodną twarz jego. Zdawało mu się tylko, że natarczywość tej żebraczki męczyła Helenę; z kolei dał jej jałmużnę od siebie i odprawił. Ujrzawszy drugi pieniądz biały, matka Fétu, zasypała ich podziękowaniami swemi. Za te pieniądze kupi sobie drzewa trochę i ogrzeje swoją chorobę. Tak, para prawdziwych gołąbków; dowodem tego drugie dziecię, które pani powiła przeszłej zimy. W dzień chrzcin u drzwi kościoła, doktor wsunął jej w rękę sto susów. Nowo narodzona była śliczną dziewczynką; różowa tłusta, teraz musi już mieć czternasty miesiąc. Oh! dobre dusze poznają się, pani przyniosła jej szczęście. Boże daj, by pani nie znała zmartwień, obsyp ją wszelkiemi łaskami twemi. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!

Podczas kiedy matka Fétu szła między grobami, bełkocąc trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś Marya, Helena patrzyła na Paryż. Śnieg ustał; ostatnie płatki ułożyły się na dach powoli, jak gdyby zmęczone; szerokie niebo jasno popielate, po za mgłami, które topniały, różowa łuna słońca przedzierała się zwolna; po nad Montmartre tylko pas błękitu tak bladego, tak delikatnego jakby połysk białego atłasu otaczał horyzont. Paryż otrząsał się z dymów i z tej śmiertelnej martwoty, która ścięła była życie jego. Domy całe czarne wysuwały się z pośród mas białych, w których spały dotąd, jak gdyby pleśniejąc wilgocią wieków. W miarę jak pas błękitu rozszerzał się od strony Montmartre, światło zimne, przejrzyste, niby woda źródlana, zlewało się na Paryż, pokrywając go kryształem, przez który dalsze okolice miasta nawet rysowały się najwyraźniej.

Helena, otulona futrem, głęboko dumała. Jedna myśl tylko wracała do niej wciąż jak echo. Mieli dziecię, dziewczynkę różową i tłustą. Wyobrażała ją sobie w tym miłym wieku, kiedy Joanna niegdyś mówić zaczynała. Małe dzieweczyny takie milutkie w czternastu miesiącach! Porachowała miesiące; czternaście, to prawie dwa lata, licząc w to i tamte; a więc właśnie o tym czasie prawie. Tu przed wyobraźnią jej mignęły słoneczne Włochy, kraj idealny, o złocistych owocach, gdzie kochankowie, trzymając się za ręce, przechadzają się wśród nocy ciepłych, pachnących. Widziała Henryka i Julię, idących przy świetle księżyca. Kochali się jak małżonkowie, co się stali znowu kochankami. Mała dziewczynka, rumiana i tłusta, której nagie ciałko śmieje się do słońca, a różowe usteczka wyrzucając niezrozumiałe wyrazy, które matka połyka ustami! I myślała o tem wszystkiem bez gniewu, serce jej zbolałe w smutku czerpało pogodę ducha. Słone-

czny kraj zniknął, a ona powoli wodziła wzrokiem po Paryżu, którego olbrzymie ciało sztywniało w uścisku zimy.

Wspomnienia płynęły dalej. Żyła w Marsylii jak gdyby w osłupieniu. Pewnego razu, przechodząc przez ulicę Petites-Maries, rozpłakała się przed domem, gdzie przepędziła była dzieciństwo swoje. Były to ostatnie łzy jej. Pan Rambaud przychodził często; czuła go koło siebie jak opiekę. Niczego nie żądał, nigdy nie wynurzał uczuć swoich. Pod jesień, przyszedł raz do niej wieczorem z oczami zaczerwienonemi i wyrazem wielkiego smutku na twarzy: brat jego, ksiądz Jouve, umarł. Kolej pocieszania przyszła na nią. Dalej nie pamiętała już wyraźnie, co się działo. Zdawało się jej wciąż, że ksiądz Jouve stoi po za nimi; powoli poddała się uczuciu rezygnacyi, które wlewał w nią. Ponieważ on tego jeszcze żądał, nie wiedziała dla czego miała mu odmawiać. Wydawało się jej to nadzwyczaj rozsądnem. Kończąc żałobę, sama rozmówiła się o tem stanowczo z panem Rambaud. Ręce starego jej przyjaciela trzęsły się wówczas ze wzruszenia. Jak ona chce, czekał na nią od dawna, dosyć było jednego jej słowa. W czarnych ubiorach wzięli ślub. Tegoż wieczora on także całował jej nogi, posągowe piękne nogi, co znowu marmurowemi stały się. I życie potoczyło się dalej.

Wspomnienia te zadziwiły Helenę. A więc szaloną była przez rok cały? Dzisiaj kiedy zastanawiała się nad tą istotą, która przez trzy lata żyła w owym pokoju przy ulicy Vineuse, zdawało się jej, że wydaje sąd o jakiejś obcej kobiecie, której postępowanie wzbudzało w niej pogardę i zdziwienie. Jaki szał, jaki występek obrzydliwy, ślepy jak piorun! Nie żądała tego jednak. Żyła spokojnie, cicho w swojem ustroniu, ubóstwiając córkę i zupełnie się jej poświęcając. Droga jej życia była prosta; nie budziła ani ciekawości, ani żądzy. Jeden podmuch wiatru obalił ją. Teraz jeszcze nie mogła tego pojąć. Przestała była należeć do siebie, ktoś inny kierował nią. Czy podobna? i to ona, ona to zrobiła! Potem straszne zimno ścisnęło jej serce, Joanna spoczęła pod różami. Wówczas zesztywniała w boleści swej i stała się zupełnie spokojną; nie miała już żądzy, nie pragnęła nic wiedzieć, powoli zaczęła znowu iść prosto przed siebie. Z surowym spokojem wróciła i dawna duma uczciwej kobiety.

Pan Rambaud zbliżył się, chciał uprowadzić ją z tego smutnego miejsca. Helena ruchem tylko dała mu poznać, że chce jeszcze pozostać. Zbliżyła się do muru i patrzała na dół, na aleję Muette i stacyą powozów, których linia ciągnęła się w wzdłuż chodnika szeregiem starych, rozbitych pojazdów. Pudła ich i koła, przyprószone śniegiem, konie pokryte białym szronem, zdawały się gnić tam od niepamiętnych czasów. Woźnicy siedzieli nieruchomie, sztywnie w swych zamarzłych płaszczach. Inne powozy powoli, jeden za drugim, przesuwały się po śniegu. Zwierzęta ślizgały się, wyciągały szyję, a ludzie, zlazłszy z kozłów, klnąc, ciągnęli je za uzdy; a przez szyby widać było cierpliwe twarze podróżnych, którzy opierając się na poduszkach, z rezygnacyą poświęcali trzy kwandranse czasu na kurs, wymagający zaledwie dziesięciu minut. Puszysty dywan tłumił stuk i hałas; w ciszy ulic głosy tylko podnosiły się bardzo wyraźnie i ze szczególnym odźwiękiem; słychać było wołanie; śmiechy ludzi, zaskoczonych ślizgawicą, gniewne słowa woźniców, trzaskających z bata, parskanie koni, sapiących ze strachu. Dalej na prawo wielkie drzewa wybrzeża cudowny przedstawiały widok. Były to drzewa niby ze szklannej przędzy, niby olbrzymie pająki wewnętrzne, których ramiona przetykały kwiaty. Wiatr północny zamienił pnie ich na słupy kolumn. U góry gałęzie, mchem białym pokryte, plątały się jak gęste krzewy; dalej strzelały kitki piór i czarne gałązki, biało obrzeżone, delikatnie i wyraźnie rysowały się na niebie. Najlżejszy podmuch wiatru nic mącił przeźroczystego powietrza; mróz wzmagał się.

Helena mówiła sobie, że nie zna Henryka. Przez cały rok widywała go prawie codziennie; godzinami całemi siedział przy niej, i oko w oko rozmawiali z sobą. Nie znała go. Jednego wieczora oddała mu się, i wziął ją. Nie znała go. Nadaremnie usiłowała zrozumieć: zkąd on się wziął? jakim sposobem znalazł się przy niej? co to był za człowiek, że tak poddała mu się ona, która prędzej umarłaby, niż poddała się innemu? Nic tego nie rozumiała, na tę myśl dostawała zawrotu głowy. W ostatni dzień tak jak i w pierwszy pozostał dla niej nieznanym. Napróżno wiązała z sobą małe oderwane wypadki, słowa jego, czyny, wszystko, co pamiętała z jego osoby. Kochał swą żonę i dziecię, dowcipnie się uśmiechał i zachowywał się tak, jak człowiek dobrze wychowany. Potem, przypominała jej się jego twarz pałająca i ręce drżące żądzą. Tygodnie upływały; znikał, coś go porywało. Nie umiałaby teraz powiedzieć, gdzie z nim mówiła po raz ostatni. Przeszedł, cień jego znikł wraz z nim samym. Historya ich nie miała innego rozwiązania. Nie znała go.

Helena, zmęczona wspomnieniami, podniosła głowę. Po nad miastem rozciągało się niebo jasne, bez chmurki najmniejszej. Przejrzyste, blado niebieskie, tak blade, że przy białem świetle słońca miało zaledwie odcień błękitu. Słońce nizko na horyzoncie niby srebrna lampa paliło się wśród mroźnego powietrza, samo nie wydając ciepła. Pod niem dachy pokryte śniegiem, wyglądały niby białe prześcieradła z czarnym okrąbkiem. Po drugiej stronie rzeki czworokąt pól Marsowych przedstawiał step, na którym ciemne punkta, pojedyńcze powozy, przypominały sanie rosyjskie, przesuwające się z brzękiem dzwonków; wiązy wybrzeża Orsay, zmniejszone wskutek odległości, wyglądały jak delikatne kryształy z najeżonemi igiełkami. Wśród tego nieruchomego morza lodowatego Sekwana toczyła swe mętne wody; białe wybrzeża otulały ją niby gronostaje. Kra, która dnia poprzedzającego jeszcze iść zaczęła, z łoskotem uderzała o filary mostu Inwalidów wpadając pod jego arkady. Dalej, mosty piętrzyły się jeden za drugim, podobne do białych koronek, coraz delikatniejszych, im bardziej zbliżały się do błyszczących murów miasta, po nad którymi wznosiły się śnieżne szczyty Notre-Dame. Na lewo inne wieżyczki przerzynały monotonną płaszczyznę cyrkułów. Święty Augustyn, Opera, wieża świętego Jakóba, były to niby góry, na których panują wieczne śniegi; bliżej, pawilony Tuileriów i Luwru, połączone nowe mizabudowaniami, zarysowywały grzbiet łańcucha o niepokalanych szczytach. Na prawo sterczały białe cyple Inwalidów, świętego Sulpicyusza, Panteonu; ten ostatni odbijał na lazurze nieba jak zaczarowany pałac z niebieskawego marmuru... Żadnego głosu słychać nie było. Całe linie domów poznikały. Tylko fasady sąsiednich gmachów dawały się rozpoznać po tysiącznych szeregach okien swoich. Przestrzenie śniegu łączyły się z sobą dalej, zlewały w jedno, tworząc niby jezioro o niebieskawych falach, a były niby dalszym ciągiem błękitu niebios. Paryż olbrzymi, jasny, błyszczał wśród muru pod promieniami srebrnego słońca.

Helena po raz ostatni objęła okiem niewzruszone miasto; ono także pozostało dla niej nieznanem. Wydawało się jej spokojnem i jak gdyby nieśmiertelnem w śniegu tym; wydawało się takim, jakiem je pozostawiła, takiem, jakiem widziała je codziennie przez lat trzy. Paryż zamykał jej przeszłość. Z nim razem kochała, z nim utraciła Joannę. Ale ten towarzysz wszystkich chwil jej zachował pogodę swego olbrzymiego oblicza; świadek śmiechów i łez, które zdawały się toczyć falami Sekwany, sam nie wzruszał się wcale, nie wzrusza nigdy. Czasami zdawał się jej być dzikim potworem, czasami olbrzymem, pełnym dobroci. Dzisiaj, patrząc na jego obojętność i nieruchomość, czuła dobrze, iż nigdy już go nie pozna. Roztaczał się przed nią jak życie.

Pan Rambaud lekko dotknął jej ramienia. Poczciwa twarz jego wyrażała niepokój.

— Nie martw się — szepnął.

Wiedział o wszystkiem i to tylko mógł jej powiedzieć. Pani Rambaud spojrzała na niego i uspokoiła się. Miała twarz zarumienioną od zimna, i oczy błyszczące. Myśl jej wróciła do teraźniejszości. Życie rozpoczynało się znowu.

— Nie wiem, czym dobrze zamknęła wielki tłumok — rzekła.

Pan Rambaud obiecał obejrzeć go. Pociąg odchodził w południe, mieli więc dosyć czasu przed sobą. Ulice posypywano piaskiem; za godzinę będą na miejscu. Nagle podniósł głos.

— Pewny jestem, żeś zapomniała wędki?

— Ah! to prawda — zawołała zdziwiona i zagniewana tym brakiem pamięci." — Powinniśmy byli zabrać je wczoraj jeszcze.

Były to bardzo dogodne wędki, jakich nie sprzedawano w Marsylii. Mieli nad morzem mały wiejski domek, gdzie zamierzali przepędzić lato. Pan Rambaud spojrzał na zegarek. Jadąc do dworca, będą mogli jeszcze kupić wędki. Zwiążą je razem z parasolami. Tak mówiąc, uprowadził żonę, powoli przesuwając się pomiędzy grobami. Na pustym cmentarzu ślady stóp ich tylko były na śniegu. Joanna martwa pozostała na zawsze wobec Paryża.

KONIEC.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Monachium, Listopad 1878 r.

Monachium jest miastem malarstwa. Starano się tu o spopularyzowanie sztuki i starania te uwieńczone zostały pożądanymi rezultatami. Tu, każdy obywatel czuje piękno i w życiu bez niego obejść się nie może, – weszło ono że się tak wyrazimy w krew jego i stało się niezbędnym warunkiem życia. Bawarja jest krajem ubogim, mniejszym trzy razy najmniej od Polski, a mimo tego, wówczas gdy u nas los artystów jest arcy smutnym dotąd i szczupła ich liczba z bardzo małym wyjątkiem cierpi biedę, w Monachium 4.000 samych malarzy różnej narodowości o zbyt swych utworów troszczyć się nie potrzebuje. Wzgląd ten łatwo tłumaczy powab jakiemu ulegają nasi polscy artyści opuszczający rodzinną strzechę i przenoszący się pod monachijskie niebo. To też między 4.000 tysiącami malarzy liczymy tutaj czternastu Polaków z których dziewięciu jest skończonych mistrzów, pięciu odbywających lub kończących swe studya.

Już to prawdą jest jak świat starą, że swojskie rzeczy i swojscy ludzie jakoś najbardziej przypadają do smaku na obczyźnie, to też i my ulegając tej prawdzie, zajrzeliśmy przedewszystkiem do tego, co nas najwięcej jako Polaków interesować mogło. —

*

Wędrowaliśmy tedy od pracowni do pracowni polskich malarzy, wędrowaliśmy po cmentarzyku, gdzie wiele polskich spoczywa kości, zajrzeliśmy do biblioteki aby obejrzeć polskie pargaminy tutaj się znajdujące, wrażeniami i wiadomościami z tego wszystkiego pragniemy podzielić się z czytelnikami „Tygodnia.“

Tak często zwłaszcza w ostatnich czasach obijają się o uszy nasze imiona dwóch znakomitych mistrzów Matejki i Siemiradzkiego, że zpewnem też zdumieniem i niedowierzaniem stanęliśmy przed obrazami Brandta w jego pracowni i mimowoli zadawaliśmy sobie pytanie, dla czego to trzecie słońce naszej sztuki nie stoi w pamięci i uściech naszych obok dwóch pierwszych. A jednak — jak twierdzą krytycy i estetycy niemieccy — Brandt liczy się do najpierwszych malarzy europejskiej siły. — Być może iż i mistrz sam temu winien, iż kraj o nim tyle nie wie i tyle nie mówi ile o dwóch jego towarzyszach. Obrazy jego bardzo rzadko okazują się na polskich wystawach, i oglądają je przedewszystkiem cudzoziemcy, wówczas gdy my musimy poprzestać albo na słabych reprodukcyach pism ilustrowanych — albo co gorsza, na cytacyach artystów i krytyk o dziełach jego z pism zagranicznych. A jednak Brandt, to mistrz tej siły, tego blasku, co Matejko, co Siemiradzki. Jeżeli pierwszy w dziełach swoich jest gienalnym drobnostkowym kronikarzem — jeśli drugi, historjozofem w najobszerniejszem i najgłębszem pojęciu tego słowa, to trzeci w obrazach swoich jest życiem, prawdą, czynem, tego wszystkiego czem naród był. On przedstawia jak krew biegła w jego żyłach, jak burzyła się na widok wroga i z jakim iście polskiem zacięciem kordem i szablą odpierała wszelkie ich roszczenia. Rzecz prosta i tutaj między trzema mistrzami żadne porównanie miejsca mieć nie może, każdy z nich bowiem odmienną kroczy drogą i jakby trzy równoległe linje zejść się ze sobą nie mogą. co jednak nieprzeszkadza żadnemu z nich być wielkim, genialnym, potężnym w sobie samym nie przyćmiewając drugiego. Obraz Brandta przedstawiający bitwę Koniecpolskiego z Tatarami pod Martynowem, — zakupiony przez Muzeum Narodowe Berlińskie za sumę 45.000 mrk., wywołał ogólny zachwyt w całej prasie niemieckiej. Nie było dziennika któryby o nim nie pisał — a najznakomitsi krytycy nie znajdowali słów na pochwałę tego arcydzieła. Krytyk monachijski, p. Pecht, który tutaj zajmuje wobec sztuki takie stanowisko jakie w Wiedniu Ranzoni—kończy swój artykuł o bitwie Martynowskiej temi słowami: „Dumni być powinniśmy z tego iż arcydzieło mistrza w naszej wykształconego szkole u nas w kraju pozostaje.“ Jaki to miły frazes dla polskiego ucha. Nieprawdaż? Niemcy dumnymi się czynią że obrazy naszych mistrzów u nich w kraju pozostają — gdy my rumienić się nawet za to już nie potrafimy.— Powiadają, że u nas ogólna bieda i na kupowanie obrazów nie ma pieniędzy. Aleź nikt nie wymaga i nie wymagał nigdy nabywania obrazów przez zwyczajnych śmiertelników. Aleź mamy przecież sławnych mecenasów sztuk i rzemiosł — mamy śmiertelników nadzwyczajnych, a mimo to nie poczuwających się do spełniania obowiązków obywatelskich. Świadkiem tego odbyta Wystawa obrazów we Lwowie — gdzie jeden, wyraźnie jeden tylko obrazek mały zakupiono.

Wracajmy jednak do pracowni Brandta. Oto przed nami wiszą dwa obrazy; jeden przedstawiający epizod z wojen szwedzkich z czasów Jana Kazimierza. Bitwa wre w całej sile — a tyle w niej ognia — życia i prawdziwego wojennego ducha, iż zdaje ci się, że patrzyż nie na obraz ale na rzeczywistość. Powiedzieliśmy że Brandt w swych obrazach przedstawia jak się krew w żyłach narodu burzyła, otóż obraz ten nowy pana Brandta potwierdza w zupełności nasze zdanie. Na twarzach walczących ogorzałych od trudów walki i ociemniałych od dymu, prochu, widać ten święty ogień który nadaje oczom blask i życie.— Konie, owe przepyszne konie, które Brandt z właściwym sobie tylko talentem odtwarza — zdają się także rozumieć myśli panów swoich i współdziałać rozumnie w walce. Lecą jak wichry na stepie, a patrzący czuje, iż gdy uderzą na wrogie szeregi, nic się przed niemi ostać nie potrafi. — Mówić o sposobie znakomitego malowania Brandta byłoby rzeczą zbyteczną, — kto chociaż jeden obraz tego mistrza oglądał, ten wie, iż najwybredniejszy krytyk nicby mu zarzucić nie był w stanie... Każda zbroja — trenzla u konia, podkowa i w ogóle wszystkie akcesorya są wykonane z zadziwiającą dokładnością i z tą subtelnością w drobiazgach która odznacza wszystkich trzech znakomitych naszych mistrzów.

Treść do drugiego płótna wziął artysta z dzieła księdza Dębołęckiego o Lisowczykach. Król Zygmunt posłał ich w pomoc cesarzowi Leopoldowi w czasie wojen husyckich. I oto widzimy jak jeden z nich na siodle konia stojąc, Ren przepływa — tańcząc na tem siodle? i pokazując zgromadzonej braci na brzegu rozmaite sztuki łamane. Akcyę obrazu oświeca wschodzący tylko co księżyc. Obraz ten, nieskończony jeszcze, mniemamy, wywoła nową wiązkę pochwał i uwielbień ze strony krytyki niemieckiej. W swoim czasie i my damy o nim obszerniejsze sprawozdanie notując dzisiaj niepospolite wrażenie, jakie obraz ten sprawia.

Brandt parę miesięcy temu otrzymał z akademii tutejszej honorowy tytuł profesora, a parę tygodni temu godność członka zwyczajnego.

I Szerner maluje obrazki rodzajowe. Płótno nieco większych rozmiarów, jakie oglądaliśmy w jego pracowni, przedstawia targ małego miasteczka, jak kostiumy wskazują, w ziemi krakowskiej. — Ciepła w tym obrazku wiele, postacie dobrze narysowane, koloryt żywy, a cały obrazek trzymany w tonie jasnym. Ugrupowanie wdzięczne, a twarze charakterystyczne przekonywują, że p. Szerner umie patrzeć na naturę, umie jej piękną stronę uchwycić i na płótnie przedstawić.

Nad obrazami p. Chełmońskiego wypada nam się obszerniej zastanowić. P. Chełmoński należy do tych malarzy, co zdobyli swój artyzm i estetyczne wykształcenie swoją własną pracą, samouctwem. Pan Chełmoński do żadnej nie należy szkoły, ma swoją własną, a obrazki jego odznaczają się „szykiem“. O tym szyku w obrazach jeźli się nie mylimy, pan Ranzoni napisał w jednej z gazet wiedeńskich bardzo trafny artykuł. Twierdzi on w nim, że są obrazki szyk mające, a szyk ten ma w sobie coś miłego, sympatycznego, ale krytyki surowej i głębokiej wytrzymać nie jest w stanie. Pan Chełmoński ma niezaprzeczenie ten szyk w swoich obrazkach, ale co do nas, przyznamy się otwarcie, może się myląc, że w szykownych tych utworach ręki malarza nie smakujemy wcale. Pan Chełmoński maluje przeważnie obrazki w stylu tak zwanym copfowym, być może, iż do tego copfa „szyk“ jest koniecznym; nam jednak obrazek p. Ch. przedstawiający trzech saskich kawalerzystów na tle zimowego przecudownego krajobrazu, wypytujących się o drogę jakiejś wiejskiej niewiasty i wiejskiego chłopięcia, wydał się o całe niebo wyższym od dwóch obrazów przedstawiających: jeden polowanie z czasów stylu *rococo*, drugi córkę tutejszego księcia Luitpolda, jadącą konno w towarzystwie damy dworu, adjutanta ojca i dżokeja. W dwóch tych ostatnich obrazkach widzimy właśnie ów „szyk“, ale nie tę piękną poetyczną strona natury, która wieje z pierwszego. — Natura nie zawsze jest piękną, do artysty należy podpatrzeć jej piękną poetyczną stronę, a poezyi wedle nas nie stanowią wcale na podobieństwo stołków, w salonie poustawiane drzewa i krzaki. Z tem wszystkiem konie, w których p. Chełmoński celuje, wszędzie z należnym artyzmem i dzielnością wykonane, przypominają co do kompozycyi i energii w rysunku najznakomitszego bezsporne polskiego akwarelistę, pana Juliusza Kossaka, który u nas stworzył osobną szkołę tego rodzaju.

Odkładając dalszą wędrówkę po pracowniach Swieszewskiego, Streita, Kurelli, Kozakiewicza, Maleckiego i innych do przyszłomiesięcznej korespondencyi, gdyż w pracowniach tych malarzy zastaliśmy jeszcze niepokończone rzeczy, chcemy choć publicznie zaznajomić czytelników *Tygodnia* z życiem wewnętrznem Bawaryi, która z natury swego położenia politycznego, dla nas jako Polaków przedstawia nadzwyczaj ciekawe studyum.

Wszystkie prawie europejskie gazety w swoim czasie szeroko bardzo rozpisywały się o niecnym czynie denuncyacyi malarza Pilotego przeciw sześćdziesięcioletniemu starcowi, Drowi Tretenbacherowi uczynionej... Nasze polskie przysłowie powiada, iż nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło, i żadne złe niezawodnie w skutkach nie okazało się dobrem bardziej dla ogółu, jak właśnie owa nikczemna denuncyacya monachijskiego malarza.— Prusofilizm, który przyznać należy nurtował potężnie sumienia Bawarskich obywateli, nagle zniknął gdzieś — a nienawiść do idei pangiermańskich księcia Bismarka, dosyć wyraźnie zamanifestowała się przy rozprawie sądowej o obrazę majestatu Drowi Tretenbacherowi wytoczonej. — Policya musiała Pilotemu udzielić eskorty wojskowej, aby bezpiecznie mógł zajść do domu. — I od tego czasu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski ustały wszystkie procesy w Bawaryi o obrazę majestatu pruskiego wytaczane, a wybory do parlamentu berlińskiego dzięki nienawiści do Prusaków wypadły na korzyść konserwatystów z natury rzeczy przeciwnych prusofilskim zachceniom. — Nawet najzagorzalsi protestanci dawali głosy swoje ultramontanom.

Czytając dzienniki tutejsze a przeważnie *Vaterland* redagowany przez Dra Siegla, przypuszczając iż one są wyrazem opinii ogółu, można stale i na pewno twierdzić, iż zasady żelaznego księcia w Bawaryi nie mają silnego gruntu.—Dr. Siegl. to pierwszy pionier contra pruskiego kierunku, siedzi on obecnie po raz już nie wiem który w areszcie za przestępstwo prasowe, nic to jednak nie wpłynęło i nie wpływa na kierunek dziennika, owszem potęguje jego dzielność. — Nam nie bardzo przyjemnie brzmią w uszach wyrażenia bawarskiego *Vaterlandu*, przypominające ton *l'Universe'a* Veilotowskiego, lub też ton księdza Edwarda Podolskiego w jego *Lwowskim Przeglądzie* w każdym razie przyznać mu musimy, iż walcząc w obronie ojczyzny z cynicznymi planami Bismarka, walczy dzielnie i skutecznie. *Vaterland* ma tę zasługę, że ani jak *l'Univers*, ani jak *Przegląd Lwowski*, nie nieci nienawiści między swoimi i broniąc zasad które wyznaje, staje zawsze z czystemi rękami wobec ogółu, czego niestety brakuje menerom naszego konserwatywnego obozu. Wyglądają oni raczej na kondotierów, jak na rycerzy uczciwej sprawy.

W Bawaryi to co o malarstwie można powiedzieć i o publicystyce. Trudno zaiste policzyć pisma i pisemka wychodzące tutaj a jednak mimo wysokiej ich liczby, każde z nich bardzo dobrze się trzyma i odznacza niezwyczajną taniością. — Najwyższa cena za numer wynosi 5 do 7 pfenigów, co stanowi 2 do 3 krajcorów. Ludność mniejsza jak w Galicyi i obszar mniejszy, a jednak z jakim to trudem, z jaką ofiarnością u nas połączone jest każde wydawnictwo gdy tutaj dosyć jest wydać cokolwiek a o stratę obawiać się nie trzeba. *)

Nastrój artystyczny, o jakim wspomnieliśmy na początku tego listu, ujawnia się wybitnie i w kierunku dramatycznej sztuki. Monachium posiada aż cztery teatra, — z których trzy utrzymuje sam król. W dziale opery naturalnie króluje tu Wagner, ba! kroluje on nawet nad królem. Często, jak mnie informowano z dobrego źródła, król Ludwik telegrafuje ze swego ustronia gdzie przebywa, iż przyjedzie do Monachium o godzinie dziesiątej wieczorem i poleca o tym czasie przedstawienie którejkolwiek z Wagnerowskich oper. Artyści czekają, król przyjeżdża i sam w loży bez udziału publiczności do późna słucha dźwięków wagnerowskiej muzy, poczem incognito jak przyjechał, wraca do swego zaczarowanego zamku.

Jeźli dusza twa czytelniku lubuje się w arcydziełach, jeźli nie przekładasz Tricochów i Cacoletów, Pięknych Helen i tp. nad poważne dramata Szekspira i innych, idź do rezydencyonalnego teatru — tam cię pan Posart raczy cyklami tych autorów, a radzę ci się spieszyć po bilet, bo takowe prędko rozkupują. Co do natury charakteru Bawarczyków, niezawodnie mało jest narodów na globie, któreby się naiwnością odznaczać mogły jak oni. Poczciwi na wskroś, ufający wszystkim i wszystkiemu, nie posiadają tego, co u nas nazywa się zdrowym, prostym, chłopskim rozumem. Jako charakterystykę Bawara opowiadają następującą farsę: Bawar siedząc na moście dopasowywał jakąś deskę. Deska była za krótka. Uciął raz — przymierzył — uciął drugi — naturalnie deska była coraz krótszą, rzuca więc ją nareszcie na ziemię i ze wściekłością woła: „do stu djabłów, dwa razy uciąłem i jeszcze za krótka!“ Przechodzeń objaśnił go dopiero że raczej powinien deskę dosztukować a nie obcinać. Objaśnienie to wpłynęło na jego humor, bo sam z siebie śmiał się serdecznie potem. Z tego faktu możnaby przypuszczać, że pracujący był idiotą, a jednak w wielu kwestyach wcale dobrze rezenował. Jeszcze lepszą

*) Dzięki Delegacyi polskiej egzystuje w Austryi stempel dziennikarski, który tamuje rozwój prasy i co zatem idzie tamuje oświatę.

miarą naiwności Bawarczyków posłużyć może książka, która się niedawno ukazała w handlu księgarskim. Są to pamiętniki znanej powszechnie oszustki panny Adeli Spitzeder, założycielki słynnego Dachańskiego Banku w Monachium. Niewiadomo co w tych pamiętnikach podziwiać, czy naiwność Bawarczyków? czy talent oszustki... Córka aktorki i aktora, który należał do loży wolnych mularzy, dzięki tym stosunkom kształcona w najwykwintniejszych zakładach naukowych żeńskich. kierowała się także na artystkę. niemając talentu jednak na scenie do niczego dojść nie była w stanie, opuściła ją więc, a nie mogąc wyżyć z pensyi jaką jej udzielała matka, wpadła w lichwiarskie długi od których płaciła kolosalne procenta bo 120 od sta rocznie. Zaciągała jeden dług aby pokryć drugi, i to właśnie podsunęło jej myśl założenia Banku. Ogłosiła więc iż przyjmuje pieniądze i płaci 120 zlr. rocznego procentu. Rzecz dziwna że na tak wyraźne oszustwo złapało się bardzo wielu i wkrótce mimo ostrzeżeń z ambon, policyi, magistratu, miliony przypływać zaczęły. Przez napływ taki pieniędzy, napływ stały, Spitzeder była w możności zapłacenia każdego wekslu, którego termin przypadał, co naturalnie zwiększało jej kredyt tak, iż ludzie wkrótce jak się sama wyraża w koszykach i workach znosili pieniądze. Procent za miesiąc wypłacała z góry dodając za stratę czasu 2 zł. tym, którzy nieraz od 4 rano do pierwszej w południe dusili się przy kasie, aby tylko oddać oszustce swój krwawo zapracowany grosz. I wkrótce widzimy Adelę panią kilku domów i wiosek, suma dziennych wkładek dosięga 150 do 180,000. Tu Adela występuje na pole filantropii. Zakłada kuchnie ludowe, domy dla robotników, poleca wykonać plan na olbrzymi teatr ludowy à la Kroll w Berlinie, plan na piekarnie, winiarnie, browar itd. itd. chce paradiować rzymskich Cezarów dając pospólstwu panem et circensem, aby tym sposobem zjednać sobie większą liczbę zwolenników, gdy naraz nieprzychylni jej bankierzy skupują wielką sumę weksli i żądają natychmiastowego ich wypłacenia. Adela nie jest w stanie temu żądaniu zadosyć uczynić, zostaje więc przyaresztowaną i na lat 3 za oszustwo skazaną do więzienia. Zdawałoby się że tu koniec karyery zręcznej oszustki. gdzietam, po wyjściu z więzienia. ci którym ona była dłużną, składają znaczną sumę i wysyłają ją do wód zagranicznych, aby podreperowała swoje nadwątlone w więzieniu zdrowie. Adela wyjeżdża i dziś za pieniądze tychże samych wierzycieli uczy się grać na fortepianie. aby wkrótce z koncertami objechać Europę. Bawarczycy ogromnie żałują swojej dobrodziejki, i kto wie czy Bank Dachauski dzięki ich łatwowierności jeszcze się nie odrodzi.

Na zakończenie muszę czytelnikom „Tygodnia“ dać krótką wzmiankę o Towarzystwie polskiem. jakie tutaj istnieje od 1863 r. Składa się ono przeważnie z emigrantów, którzy na tułactwie do rzemiosł rzucić się musieli. Gmina polska, której wójtem jest p. Różycki, może posłużyć za wzór wszystkim emigracyjnym kółkom. Porządek, przyzwoitość, zajęcie się pracą i straż około tego, aby nie skompromitowano za granicami imienia polskiego, jest celem gminy i cel ten zupełnie ona osiągnęła. To też Polacy w Monachium używają najlepszej opinii, zły nie dosiedzi tu długo, a tem samem i nikogo nie skompromituje.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 5. grudnia.

I znowu spokojnie i cicho na bruku lwowskim, jak w przeddzień wielkiego potopu, który pan Bóg na prożby naszych podwawelskich przyjaciół, niezawodnie leje jak z cebra, a tu jeszcze arka przedlitawska nie gotowa, i kto wie czy nie będziemy zmuszeni dosiąść barki krakowskiej, która już stoi gotową na wszelki przypadek przy rogatce gródeckiej. A gdy tak nad naszemi nieprawościami niebo łzy leje, pod ziemią ukryty wulkan tylko mruczy i grozi wyrzucając z rozpalonych wnętrzności kiedy niekiedy kłąb dymu w postaci otwartego listu lub głosu z prowincyi. W ślad za jednym fajerwerkiem, idzie drugi, ale już w postaci iskrzącego się od iskier szermela, który wprawdzie nie rąbie pałaszem, nie mając na to specyalnego pozwolenia, ale zasypuje ogniem twarz przeciwnika i parzy. Jednem słowem dalszy ciąg tak zwanej Hausneryady jest ciągle na porządku dziennym odzywając się to z Sambora, to z Brodów, to z Brzeżan, na czem zarabiają nieźle drukarnie, składy papieru i c. k. trafiki sprzedające marki pocztowe. A biedni przyszli wyborcy, którym ten grad listów i odpowiedzi niewiadomo jakim cudem dostaje się zadarmo, pukają w palce nie mogąc dociec, kto też z nich ma lepszą racyą... Podług nas, ostatni strzał bywa najpewniejszy, a że do przyszłej walki wyborczej ustawione armie są jeszcze dosyć z daleka, zatem dobry wódz nie powinien za nadto ekspensować swoją amunicyą.

To pukanie w palce, jak się zdaje, opanowało od niejakiego czasu nawet poczciwego naszego Szczutka, który z tytułu, że jest kaucyonowanym do polityki, gwałtem chce mieć swoje polityczne przekonania na grubą skalę... Naprawdę zapatrzywszy się na swoje godło leżące nieprzyzwoicie na kuli ziemskiej, chciałby dać szczutka panu Hausnerowi, tylko to tak delikatnie, aby wilk był syty i owca cała... I nic dziwnego, przy tak słotnej atmosferze, dostał biedaczysko politycznego kataru, od którego zwykle w oczach robi się ciemno, a tu chustka od nosa została w Krakowie... Otóż zachodzi teraz wielka kwestya, czy nie wypadnie zakatarzonemu asmodeuszkowi udać się po tę chustkę do Krakowa i zluzować tam Dyabła, któremu widocznie więcej byłoby do twarzy we Lwowie. Nie chcemy być prorokami, ale tutejsza publiczność potrafi czasem zapłacić pięknem za nadobne, i jak da zbiorowego szczutka panu Szczutkowi, to „Dyabeł“ tylko zachichocze nad Wisłą.

Trzeba powiedzieć, że humorysta krakowski sam jeden walcząc przeciw całemu miastu, nie daje się zjeść w konserwatywnej kaszy i coraz lepiej ogania się na wsze strony. Ostatni nr. 22. jest pełen dowcipu i gorzkiej komu wypada prawdy, zaś rycina tak pod względem rysunku jak i pomysłu nie zostawia nic do życzenia. Pomijając wiele innych interesujących artykułów tego numeru, pozwolimy sobie na próbkę powtórzyć Odę do młodości przerobioną ze względów lojalno pedagogicznych.

Młodości! ty nad poziomy
Nie podnoś nosa — siedź w dziurze,
Warchołom zostaw ogromy,
Ty bądź szczęśliwa w mundurze.
Na dyabła w nowe ci tory
Pchać bryłę świata, gdyś goły?
Chcesz mieć pieniądze, honory,
Trzymaj ją raczej za poły.
Pokrop święconą się wodą,
Niech książki myśl nie przerasta,
Młodzieży! ty mi bądź młodą,
Siedź cicho — cicho — i basta!

Skończylibyśmy już raz z polityką, gdyby nam nie wypadło sprostować pewnego frazesu, który nieco lekkomyślnie zamieściła jedna z tutejszych gazet, nazywając korespondenta „Gazety Polskiej“ wychodzącej w Warszawie agentem moskiewskim. O ile znamy tę sprawę i godną szacunku osobę korespondenta, historya owej korespondencyi o wypadkach 16. listopada zanadto może spotęgowanych, ograniczyła się na poufnem zakomunikowaniu redaktora „Gazety Polskiej“ wiadomości, jakie rzeczywiście tego wieczora kursowały po mieście. Pan Leo zanadto się pospieszył, zamieszczając poufny list w gazecie, nie czekając dalszych wyjaśnień, a nie zrobił to sam, bo i inne pisma warszawskie, a nawet wiedeńska „Nowa Pressa“ w tem samem świetle pierwszą wiadomość o wypadkach tych podały... Jednakże żadna ztąd szkoda dla sprawy narodowej nie wynikła, któraby mogła dać powód posądzania tak samej „Gazety Polskiej“ jak i lwowskiego korespondenta wprost o moskiewskie tendencye... Dla tego spodziewamy się, że „Gazeta Narodowa“ zechce sprostować to zazbyt dorywcze orzeczenie, sprowadzając rzecz całą na właściwą drogę jedynie zbyt żywo skreślonych na razie wrażeń, które jednak ani godności korespondenta, ani też samej „Gazety Polskiej“ szkodzić nie mogą.

Nareszcie doczekaliśmy się adwentowych śledzi, które podobno słońsze są tego roku co do ceny. Odczyty i koncerta, teatr polski i ruski więcej ściągają widzów niż w zeszłych tygodniach. Bo też i Dyrekcya teatru sypie nowościami jak z rękawa. Małomieszczanom Scribego udało się sześć razy prawie dzień po dniu przywabić publiczność, a tu znów „Szatan na ziemi“, operetka Souppego ciągnie amatorów pomimo słoty. Niedosyć tego, mamy obiecaną jeszcze jedną operę, i jeszcze nową komedyę „Podróż do Egiptu“ czy też jeszcze gdzieś dalej — słowem dyrekcya całemi siłami prowadzi nasze kieszenie na pokusy, do których wam czytelniczki wiejskie z powodu niskiej ceny na pszenicę, tylko wzdychać wolno. Że tam około Rzeszowa porządnie muszą się nudzić młode wdowy, mamy na to dowód w inseracie Dziennika Polskiego dwukrotnie zamieszczonym pod napisem: „Nie modnie ale wygodnie.“ Otóż dama ta mająca 30.000 złr. posagu pragnie uszczęśliwić jakiego wąsacza odpowiadającego jej miarą, wagą, wiekiem, wykształceniem i ryzykiem..... Ztąd nie na żarty powstał wielki rumor we Lwowie, bo nie brak tu kandydatów, którzy te wszystkie żądane przymioty w wysokim stopniu posiadają, szczególniej co się tyczy szykownego użycia owych trzydziestu tysięcy..... Listy z fotografiami ma się rozumieć pod gwarancyą wdowieńskiej dyskrecyi, idą od kilku dni post restante do Rzeszowa, a imość, która sobie w ten sposób zabawkę urządziła, studyuje miny pretendentów, które wyobrażam sobie jak muszą czupurnie na fotografiach wyglądać... Wszak głupców nikt nie sieje — sami się rodzą!

Znowu w tym czasie podniesiono setny raz pono myśl założenia „Polskiego towarzystwa nakładowego“ we Lwowie, którego zadaniem będzie: nabycie drukarni, zakładanie księgarni, wydawanie dzieł, dziennika i wiele tym podobnych czynności dla rozruszania drzemiącej publiki galicyjskiej. Piękna to i zacna myśl, którą przyszłe towarzystwo za pomocą akcyi po 50 zł. reńskich w ciągu dziesięciu miesięcy wpłacalnych ma nadzieję wprowadzić w życie swoje projekta, ale niech daruje, że uważamy ją jeszcze za przedwczesną. Z publicznością naszą nie tak to łatwa sprawa: podaj jej najsmaczniejsze potrawy do jedzenia, ani ich tknie, bo widocznie głodu nie czuje i jeść się nie nauczyła. Do Galicyi nie dadzą się zastosować słowa pisma świętego, że nie samym chlebem żyje człowiek; u nas naprawdę potrafią się obejść nawet zamożne rodziny bez książki i bez gazety, więc dla kogoż tu zakładać drukarnie, księgarnie, kiedy te co są nie mają co robić i ledwie dyszą. Gdyby nie Kon-

gresówka, która nakłady tutejsze już z musu zastosowane treścią do wymagań cenzury moskiewskiej w znacznej części konsumuje — dla Galicyi wystarczyłyby dwie księgarnie. Ot, gdyby się zawiązało Towarzystwo zmuszające do czytania, ale to zmuszające za pośrednictwem c. k. policyi lwowskiej, to możnaby mieć nadzieję, że za jakie lat dwadzieścia mogłaby nowa księgarnia być potrzebną.....

W końcu, aby dać dowód czytelnikom naszym, że chcemy jak najprędzej zmienić nasze zdanie o książko-wstręcie galicyjskim, zamierzyliśmy otworzyć w piśmie naszem rubrykę kroniki prowincyonalnej, w której starać się będziemy pomieszczać wszystko to, co zajdzie tam godnego zanotowania z dziedziny życia umysłowego. Bez współudziału szanownych czytelniczek i czytelników naszych, nie dojdziemy do tego porozumienia się wzajemnego, do wyniesienia na światło tego wszystkiego co dziś pracuje uczciwie w ukryciu, co dąży do podniesienia naszej oświaty, naszego intellektualnego i materyalnego postępu. Dlatego śmiemy prosić wszystkich dobrej woli, aby raczyli nadsyłać nam odpowiednie wiadomości, które bądź w całości, bądź w treści w piśmie naszem zamieszczać będziemy. Listy takie z adresem „Kronika Tygodnia“ w Księgarni Polskiej plac Halicki Nr. 14 z wdzięcznością przyjmujemy, licząc na to, że komunikowane nam korespondencye, traktować będą rzecz samą i fakta godne zanotowania, a nie dotykać osobistych spraw i czynów, które pozostać winny w ukryciu.....

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Akta grodzkie i ziemskie* z czasów rzeczypospolitej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie wskutek fundacyi ś. p. A. hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. Tom VII. 4⁰ str. 325. Lwów 1878. 5 złr.

— *Bain A.* Logika. 2 tomy. Tom I. Dedukcya, 8ka, str. 312. Tom II. Indukcya str. 503 tłumaczenie z angielskiego. Warszawa 1878. 9.50.

— *Cobbet Wilhelm.* Historya reformy protestanckiej w Anglii i Irlandyi. 8ka, str. 288. Poznań 1878 1.30.

— *Czwarty rocznik stowarzyszeń* zarobkowych i gospodarczych w Galicyi i W. ks. Krakowskiem zebrał i ogłosił dr. Alfred Zgórski, redaktor Związku 4⁰ str. 41. Lwów 1878. 1.20.

— *Delacour A. i Roger P.* Zarzutka balowa komedya w 1 akcie przełożona z francuskiego przez Celinę D. 8ka, str. 18. Lwów 1878. 40 ct.

— *Humiecki Dr. M.* Darwinizm. 8ka, str. 31. Lwów 1878. 25 ct.

— *Krausharowa Jadwiga.* Alfred de Musset. Szkic biograficzno-literacki według nowych źródeł. 8ka, str. 137. Warszawa 1879. 1 złr.

— *Listy Joachima Lelewela.* Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa. Tom I. 8ka, str. 483. Poznań 1878. 4.88.

— *Marciszewska Marya z K.* Kucharka szlachecka. Podarek dla młodych gospodyń. Zawierający około 3000 przepisów kuchennych, spiżarnianych i td. i td. 2 tomy oprawne. Wydanie trzecie. Kijów 1878. 4.75.

— *Mowy Ludwika Wolskiego i Ottona Hausnera* miane dnia 4. i 5. listopada 1878 r. w parlamencie austryackim. 8ka, str. 31. Lwów 1878. 25 ct.

— *Przyborowski W.* Najazd o cześnikównę. Powieść z XVII wieku według notatek imci pana Niemiry. 8ka, str. 135. Kielce 1878. 50 ct.

— *Przyborowski W.* Najazd o cześć ojcowską. Powieść. 8ka, str. 148. Warszawa 1879. 1.25.

— *Rapacki W.* Maćko Borkowic. Dramat w pięciu aktach. 8ka, str. 82. Warszawa 1878. 75 ct.

— *Rogosz Józef.* Choroby Galicyi w latach 1866—1878, podpatrzone i opowiedziane przez dukata. Serya nowa. 8ka, str. 253. Lwów 1879. 2 złr.

— *Rzut oka na Polskę* zagrobową przez Jerzego J. 16ka, str. 38. Lwów 1878. 30 ct.

— *Solidarność* a jawność i tolerancya przez J. K. 8ka, str. 23. Poznań 1879. 50 ct.

— *Szaraniewicz Dr. Izydor.* Krótki opis geograficzny austryacko-węgierskiej monarchii ze szczególnem uwzględnieniem królestwa Galicyi i Wielkiego księstwa krakowskiego do użytku klas niższych szkół średnich. Wydanie I. 8ka, str. 166. Lwów 1878. 90 ct.

— *Sznabl Dr. J.* O sztucznem żywieniu noworodków i niemowląt. Z tablicą litografowaną. 8ka, str. 54. Warszawa 1878. 85 ct.

— *Wiadomości statystyczne* o stosunkach krajowych wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. dr. Tadeusza Pilata. Rocznik IV. Statystyka gminna. 8ka, str. 279. Lwów 1878. 2 złr. 50 ct.

— *Zagórski A.* O przyczynach i skutkach wzroku krótkiego ze względu na wychowanie publiczne. 8ka, str. 22. Lwów 1878. 25 ct.

— *Zalewski Kazimierz.* „Artykuł 264“. Komedya w pięciu aktach. 8ka, str. 88. Warszawa 1878. 1 złr. 35 ct.

— *Zieliński W.* Nowy komeniusz czyli pierwiastek konwersacyi polskiej, francuskiej i niemieckiej. Wydanie siódme. 8ka, str. 315. Warszawa 1879. 1 złr. 25 ct.

— *Złote myśli* z dzieł J. I. Kraszewskiego zebrał Stanisław Wegner krytycznym przeglądem pism jubilata opatrzył Stefan Buszczyński. Z fotodrukiem rysunku W. Eliasza. 8ka, str. 169. Poznań 1879. 1.95.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Śp. jen. Mierosławski, jak pisze „Dziennik Polski“ niepokoił się bardzo dokończeniem swej historyi powstania z r. 1830. Wkrótce przed śmiercią powiedział przyjaciołom: „umieram żałując, że nie mogę memu narodowi zostawić ukończonej historyi rewolucyi“. Tom siódmy dzieła tego ma być ukończonym w manuskrypcie, do ósmego, ostatniego, są zebrane materyały. Śp. jenerał zamierzał podobno ukończenie pracy tej powierzyć panu Euzebiuszowi Rydzewskiemu, byłemu oficerowi petersburskiej akademii sztabu. Czy nie znajduje się nikt, ktoby pospieszył z zachętą i niezbędną pomocą? Jakiekolwiek możnaby mieć zdanie o tendencyi śp. jenerała, w każdym razie praca ta jego należy do najcenniejszych z dziedziny naszych dziejów politycznych w 19tym wieku — i byłoby nie do odżałowania, gdyby dokończoną nie została.

*** O ostatnich chwilach jenerała Ludwika Mierosławskiego donoszą z Paryża do „Gazety lwowskiej“: Po dwuletniej chorobie, a po dziesięciomiesięcznych wielkich cierpieniach umarł tu w zeszły piątek o godzinie 3. po południu jenerał Mierosławski. Ani na chwilę nie przypuszczał, że go śmierć czeka, tak, że na dwa dni przed zgonem wybierał się jeszcze w podróż do Mentony i tylko w przewidywaniu jakiego wypadku na kolei żelaznej napisał testament, mocą którego ustanowił wykonawcą ostatniej swej woli przyjaciela od lat 40, p. John Lemoine, znanego akademika, publicystę i współpracownika *Journ. des Déb.* Pochowaliśmy go dnia 25. bm. na cmentarzu Montparnasse wśród licznego orszaku, złożonego w części z Francuzów, ale w większej nierównie z Polaków. Młodzież polska zwyczajem krajowym niosła trumnę na barkach. Nad grobem przemówił bardzo rzewnie August Marais, serdeczny przyjaciel Polski, a po nim dwóch Polaków, pp. Rayski i ks. Balczewski.

*** Mów Ottona Hausnera i Ludwika Wolskiego wyszło z druku wydanie piąte. Wszystkie egzemplarze rozeszły się przeważnie w Galicyi. Najwięcej skonsumował Lwów i Kraków.

*** Po zmarłym profesorze dziekanie warszawskiego uniwersytetu J. Kowalewskim, według doniesienia gazety „Nowosti“, pozostało około 30stu tomów rękopismów, między któremi ma się znajdować kilka ważnych prac z dziedziny wschodniego językoznawstwa.

*** Bitwa pod Dąbrową (Grünewald) Matejki, która znajduje się obecnie w Wiedniu ma nadejść następnie do Warszawy, potem zaś ma być wysłaną do Moskwy i Petersburga.

*** P. Bogumił Aspis napisał nową pięcioaktową komedyę pt.: „Co będzie?“

*** Dowiadujemy się, że panowie O. i T., studenci warszawskiego uniwersytetu tłumaczą na język polski dzieło Schultzego Delitscha pt. „Vorschuss und Credit-Vereine als Volksbanken“. Jeżeli tłumacze znajdą nakładcę, literatura nasza w kwestyi stowarzyszeń zaliczkowych zyska niemało.

*** Katedry historyi i literatury polskiej mają być zaprowadzone na niektórych uniwersytetach włoskich. Inicyatywę w tym kierunku dał, jak piszą gazety zagraniczne, uniwersytet w Bononii, gdzie dnia 18. b. m. odbyło się zebranie reprezentantów wszechnic włoskich. Zebranie miało na celu utworzenie towarzystwa, któreby się zajęło wprowadzeniem w życie projektu.

*** Nakładem spółki nakładowej wyjdzie niezadługo dzieło francuskiego uczonego I. Luysa pt. „Mózg i jego czynności“ w przekładzie polskim dr. Teodora Dunina, asystenta kliniki terapeutycznej w Warszawie.

*** Głośny utwór Mikołaja Gogola „Martwe dusze“, przełożony został obecnie na język polski i wydany w Poznaniu (1879); przekład poprzedzony życiorysem Gogola.

*** Stowarzyszenie św. Hieronima. (Družstwo svetoga Jerolima) w Zagrzebiu, rodzaj czeskiej *Maticy ludu*, zajmuje się specyalnie wydawaniem książek ludowych. W roku tym wydało *Kalendarz* na rok 1879, powiastkę Dragutina Strażimira p. t. *Mijat Brigusza*, uwieńczoną na konkursie z zapisu hr. Jana Draszkowicza, krótką *Akuszeryę* praktyczną Pawła Krempiera oraz *Żywoty świętych* za miesiąc maj prof. Franciszka Iwekowicza. Każdy członek owego towarzystwa płaci jednorazowo 5 złr. i za to otrzymuje do końca życia rok rocznie kilka książek. Rozumie się, że składki członków nie pokrywają kosztów wydawnictwa i Towarzystwo możeby nawet już istnieć nie mogło, gdyby nie ofiarność pojedyńczych osób, oraz subwencya ze strony sejmu chorwackiego.

*** Pan Stefan Bakałowicz, akademik petersburski, otrzymał w tych dniach wielki srebrny medal w klasie kompozycyi.

*** *Kometa* pismo humorystyczne będzie wychodziło od Nowego roku we Lwowie. Sądząc z powszechnego niezadowolenia, jakie w obozie postępowym wywołały ostatnie wystąpienia *Szczutka* przeciwko najpopularniejszym w kraju osobistościom możemy rokować *Komecie* świetne powodzenie.

*** Pan Klemens Kantecki ogłosił drukiem obszerną pracę pt. *Artur Grottger*, szkic biograficzny. Lwów 1879 r. O ciekawej tej pracy pomówimy obszerniej.

*** Zasłużony wieniec srebrny otrzymał dr. Władysław Nehring, prof. uniw. wrocławskiego i autor znandgo kursu literatury polskiej. Tę nagrodę otrzymał od literackiego towarzystwa akademików polskich, którego jest kuratorem od lat dziesięciu.

*** Z Kijowa piszą do „Gołosu“, że biblioteka tamtejszego uniwersytetu otrzymała bogaty dar, a mianowicie całkowitą bibliotekę b. klasztoru karmelitów w Berdyczowie, zwiniętego w r. 1874; z 7.500 jednak tomów, zapisanych w katalogu, po upływie czternastu lat czasu pozostało tylko 6.500. W bibliotece pokarmelickiej znajduje się szczególniej wiele cennych bardzo dzieł, odnoszących się do historyi polskiej.

*** Z Czech pisze p. Jelinek do „Kłosów“, że w Pradze zawiązał się komitet z członków literackiego towarzystwa akademickiego „Slavia“, w celu uczczenia odpowiednim obchodem pięćdziesięcioletniego jubileuszu J. I Kraszewskiego. Uroczystość ma się stanowczo odbyć dnia 11. grudnia rb. w wielkiej sali „Zofińskiego Ostrowu“, gdzie się zwyczajnie znaczniejsze czeskie koncerta i bale urządzają. Program zamieszczonego w tem „słowiańskiego wieczoru“ nie jest jeszcze ściśle oznaczony. Osobny prolog obchodu napisze jeden z najlepszych poetów czeskich; do współdziałania będą też zaproszeni znane czeskie siły koncertowe.

Przy tej sposobności korespondent donosi że w dodatku do czasopisma „Brousek“ wychodzi obecnie przekład powieści naszego jubilata „Ressurecturi“

pod czeskim tytułem „Vzkrzysenci“, a prócz tego znany tłómacz czeski p. V. Szpanhel, gotuje do druku przekład znanej powieści Kraszewskiego „Chata za wsią“. Ma powieść ta stanowić wydanie jubileuszowe i wybór, przyznajemy, nie mógł być szczęśliwiej dokonany.

P. Rudolf Pokorny, ukończył też obecnie przekład poezyi Bohdana Zaleskiego; a p. Otokar Mokry, wydaje drugi tom swego przekładu poezyi Juliusza Słowackiego.

W Pradze wyszedł także pierwszy tom kompletnego zbioru dzieł znakomitego poety czeskiego Witosława Halka i zawiera „Ballady i romanse“, oraz inne powiastki, pieśni i obrazy narodowego czeskiego poety, który w dziełach swoich podał ziomkom swoim wzory liryki, epiki i dramatu. Powszechnie też budzi zajęcie w kraju Hussa, pierwszy tom wydanego obecnie zbioru opowiadań Józefa Holeczka, których treść autor poczerpnął z świeżych walk czarnogórców z Turkami, których bliskim był świadkiem, przebywając w Czarnogórzu jako korespondent „Narodnich listów.“ Zbiorek nosi piękny tytuł: „Za swobodu.“

*** W Krakowie d. 9 bm. odbyło się o godz. 12 pełne prywatne posiedzenie Akademii umiejętności pod przewodnictwem prezesa Majera. Z członków zamiejscowych obecnymi byli: dr. Biliński, dr. Węclewski, dr. Szaraniewicz, dr. Strzelecki i dr. Żmurko.

Prezes zawiadomił: a) o nadejściu zbioru mineralogicznego z daru członka Ignacego Domejki w Chili; b) o szczęśliwem przybyciu zbiorów starożytności peruwiańskich przesyłki drugiej pana Wład. Klugera; c) o przyjęciu legatu ś. p. Siemianowskiego w Samborze, przeznaczającego dla akademii zbiór rycin i akwareli widoków włoskich; d) o nadaniu stypendyum imienia Śniadeckiego 5000 złr. na rok jeden dr. Kadyjemu, docentowi zootomii przy uniwersytecie krakowskim.

Z nowych pulikacyi akademii złożono archiwum dla historyi, literatury i oświaty w Polsce, tom I. Acta historica: Listy Andrzeja Zebrzydowskiego wydane przez dra W. Wisłockiego „Monumenta medii aevi historica,“ tom IV, mieszczący najdawniejsze księgi miasta Krakowa, wydane przez dra Piekosińskiego i J. Szujskiego. „Po ucieczce Henryka,“ dzieło dra Wincentego Zakrzewskiego. Sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego tom IX.

Powzięto następnie postanowienie w interesie zapisu Szczawnicy przez śp. Józefa Szalaja. Uchwalono budżet na rok 1879 a mianowicie dochód wspólny 33,460, wydziałowy 7.200. Wydatki wspólne 8940. Wydziału I i II w kwocie 15,960. Wydziału III w kwocie 15,760.

Przy wyborze prezesa, na 23 obecnych otrzymał prezes Majer 22 głosy, a więc wybrany na dalsze trzy lata. Z kandydatów, których nazwiska odczytane zostały na publicznem posiedzeniu dnia 3 maja roku bieżącego, wybrani zostali wszyscy, a mianowicie, na wydziale filologicznym, dr. Wacław Sztulc, prałat metropolitalny w Pradze, dr. Jagic, prof. słowiańskich języków w Berlinie, członkami: dr. Władysław Wisłocki i ks. kan. Ign. Polkowski korespondentami. Na wydziale filozoficzno-historycznym: dr. Franciszek Piekosiński, ks. Waleryan Kalinka, dr. Ksaw. Liske, dr. Fr. Randa, prof. w Pradze, dr. Fr. Romer w Peszcie, dr. Kazimierz Jarochowski w Poznaniu, członkami: dr. Michał Bobrzyński i p. J. N. Sadowski korespondentami. Zgromadzenie przyjęło wniosek wydziału III, aby na konkurs imienia Kopernika naznaczyć temat: „O sposobach wyznaczania biegu ciał niebieskich.“

Starożytności.

*** Miecz Bolesława Wielkiego, znajdował się w tym roku na wystawie paryskiej. Wiadomo, iż podczas uroczystości koronacyjnych, używaną była kopia szczerbca, złożona w skarbcu katedry krakowskiej, ponieważ oryginał zaginął: otóż obecnie antykwaryusz jakiś w Bazylei, odkrył tę starożytną pamiątkę i światu pokazał. Legendę o szczerbcu Gallusowi zawdzięczamy, za którym powtórzył ją Kadłubek, oraz inni kron karze, Dytmar najwcześniejszy ze wszystkich, nic o niej nie wspomina. Abstrahując kwestyą prawdziwości historyi o szczerbcu, w każdym razie uznać wypada, że wynalezienie miecza, uchodzącego za oryginał, jest ważnym wypadkiem dla starożytników. Komitet wystawy niedozwolił przerysowywać przedmiotów, znajdujących się w jakimbądź oddziale; rozporządzenie to rozumne odnośnie do maszyn, wynalazków i dzieł sztuki, nie miało racyi bytu respective antykwaryi, dla tego jeden z naszych turystów, pozwolił sobie ten zakaz przekroczyć i zdjął facsimile szczerbca, drzeworyt którego ujrzymy niedługo w Bibliotece Warszawskiej.

Wiadomości ekonomiczne i gospodarskie.

*** Z Bochni 1. grudnia piszą nam: Na dniu wczorajszym targowym sprzedawano kopę kapusty najczyściejszej, wybór po 10 centów a lichą po 5 cnt. Urodzaj kapusty w Bocheńskim powiecie niesłychany. Korzec ziemniaków zdrowych sprzedawano po 80 cnt. Biedny producent z czego zapłaci podatki? Pokazuje się jednakowoż że więcej brak pieniężny, aniżeli nadzwyczajny urodzaj wpłynął na te ceny.

*** Pokłady kredy w bardzo dobrym gatunku odkryto w gub. Lubelskiej w dobrach Milejów hr. Antoniego Roztworowskiego. Pokłady kredy zaczynają się w głębokości 7 łokci na dużej przestrzeni. Gatunek kredy bardzo dobry — pisząc na suknie nie pozostawia najmniejszego nawet pyłu; zastąpić by nawet mogła sprowadzane do nas z zagranicy kredki krawieckie a także używane do gry w karty.

O ile wiemy, hr. Roztworowski skłonny jest eksploatacyę powierzyć jakiemu przedsiębiorcy.

*** Akademia rolnicza w Proszkowie na Szląsku pod Opolem ma być z polecenia ministra zwinięta. Na miejsce akademii rząd ma zamiar otworzyć niższą szkołę rolniczą.

Profesorów akademii Proszkowskiej, bibliotekę i dosyć bogate specyalne gabinety i laboratorya mają przenieść do Berlina i przyłączyć do utworzyć się mającego rolniczego wydziału przy uniwersytecie berlińskim.

*** Roboty nad kanałem, mającym uspławnić Noteć od Nakła aż do Gopła, już rozpoczęto, i jak słychać, nie ustaną i podczas zimy. Przytem i wielu robotników znajdzie korzystne zatrudnienie.

*** Produkcya wełny. Ogólna produkcya wełny surowej na całym świecie w roku 1876 dochodziła do 1,497,500.000 funtów, wartość jej około 150,000,000 dolarów. Ilość ta wełny surowej równa się 852,000,000 funtów wełny oczyszczonej.

*** W Mysłowicach zawiązało się towarzystwo, zam'erzające prowadzić na wielką skalę handel świeżem mięsem z Paryżem, Berlinem i Wrocławiem. Mięso ma być przysyłane w specyalnie do tego zbudowanych hermetycznie zamykanych wagonach, wewnątrz wybitych blachą żelazną i wyłożonych trzema warstwami materyi będącej złym przewodnikiem ciepła. Mięso podobno cztery tygodnie bez zepsucia, w stanie świeżym przechowane być może. Jeden wagon pomieścić jest w stanie mięso z 300 owiec około, transport więc nie wiele kosztuje.

Kompania chce swą działalność o ile możności rozszerzyć.

*** Jak długo żyją zwierzęta domowe. Jedno z pism rolniczych zagranicznych interesujące wiadomości podaje o wieku zwierząt domowych.

Bydło dożyje do lat 30. Koń i osieł nigdy dłużej, przy najlepszych warunkach życia, nad lat 35 nie żyje Muł dochodzi do lat 60 życia. Pies mający lat 20—25 jest osobliwością. Kot pietnastego roku życia nigdy nie przeżyje Piętnaście lat życia jest także granicą dla życia owcy i kozy. Dziesięcioletni królik jest w przededniu swej śmierci, kura i indyczka nie żyją dłużej nad lat 12. Trzydziestoletnia gęś byłaby cudem. Wróbel może dożyć do lat 24, świnia nakoniec często żyje do lat 20.

ROZMAITOŚCI.

*** Jeden z największych dyamentów odkryto niedawno w południowej Afryce; kamień waży 244 karaty, a lubo nie najczystszej wody, jest przecież bez skazy i wybornie daje się użyć do rznięcia szkła.

*** Literaci, artyści, statystycy, socyaliści etc. etc. urządzali kongresy — otóż i policyantom zechciało się urządzić kongres. Nie trudno odgadnąć, że odbędzie się on nie w Paryżu, Genewie lub Brukselli lecz w Berlinie. Słyszeliśmy, że Bismark ma miewać odczyty na posiedzeniach kongresu!

*** Pensye dostojników angielskich. Pobierający pensye w Anglii dzielą się na trzy kategorye do pierwszej należą ci, którzy służą rządowi; do drugiej, którzy już mu się wysłużyli; do ostatniej zaś potomkowie zasłużonych. Do pierwszej kategoryi należy lord kanclerz pobierający rocznie 250.000 fr., i inni członkowie rządu pobierający od 100 do 125.000 fr. Spis drugiej kategoryi jest dowodem, że Anglia hojnie wynagradza usługi sobie oddane; ambasadorowie wysłużeni pobierają od 40 do 50.000 fr.; są to emeryci najgorzej płatni. W obecnej chwili Anglia ma trzech kanclerzy emerytów, którym płaci po 125.000 fr. i sześciu sędziów biorących razem 600.000 fr. Pensye spadkowe pobiera książę Malborough 100.000 fr., za to, że jego przodek wybrał bitwę pod Blenheimem. Potomek admirała Nelsona pobiera 67.500 fr., a księcia Schomberga 100.000 fr. Członkowie rodziny królewskiej figurują także na liście cywilnej. Królowa pobiera 10.167,749 fr. 35 ct.; książę Walii milion, żona jego 250.000 fr.; starsza córka królowej, żona ks. następcy pruskiego, 200.000 fr. Inni synowie i córki biorą różne pensye — najniższa jest 75.000 fr., najwyższa, książę Edynburski 625.000 fr. Te różnice w uposażeniu dzieci królewskich ztąd pochodzą, że za każdym razem gdy królowa chce uposażyć dziecko, zależy to od uchwały parlamentu.

*** O Berezowskim, który w dniu 6. czerwca 1867 r. strzelał do cara w Paryżu, donoszą dzienniki, że znajduje się w więzieniu w Nowej Kaledonii. Przed kilku laty uciekł był Berezowski z więzienia i błąkał się długi czas w lasach. W walce z hyeną miał ją zabić i żywić się jakiś czas jej surowem mięsem. W końcu znękany głodem i niewygodami sam powrócił do więzienia. Ofiarowano mu miejsce bibliotekarza w więzieniu, ale nie mógł przyjąć tego zajęcia z powodu nadzwyczajnego osłabienia. Obecnie stan jego umysłowy nie jest pocieszającym — zbyt często zapada w długie ciężkie dumanie na pół nieprzytomne.

*** Lowelas warszawski w obronie swego honoru!

Jeden z młodziutkich lowelasów warszawskich prześladował pewną damę, ścigając ją wszędzie, gdzie tylko napotkał.

Gdy raz zadaleko zapędził się za damą, wchodzącą do mieszkania... został niezbyt gościnnie przyjęty przez jej ojca.

Uważając podobne przyjęcie za ciężką obrazę honoru, wniósł skargę do sędziego pokoju, przeciwko ojcu owej damy i przeciwko niej samej, jako współwinowajczyni.

Świadkowie zeznali, iż usłyszeli krzyk w mieszkaniu oskarżonych, a następnie ujrzeli wybiegającego, a raczej gwałtownie eksmitowanego młodzieńca, którego obecnie poznają w osobie oskarżyciela. Jaka była przyczyna zajścia, świadkowie nie wiedzą. Słyszeli tylko w chwili „wyrzucania“, jak ojciec damy wołał:

— A smarkaczu! nauczę ja ciebie zaczepiać porządne kobiety.

Jeden ze świadków nadmienił, iż oskarżyciel specyalnie poświęca się donżuanery ulicznej.

Oskarżyciel twierdził, że przez pomyłkę wszedł do mieszkania oskarżonych i chociaż przepraszał najmocniej za pomyłkę, został oskarżony o donżuanowskie zamiary i najhaniebniej wyrzucony za drzwi.

Obrońca oskarżonych zwrócił uwagę sędziego, że zeznania świadków dostatecznie dowodzą tego faktu, iż oskarzyciel ścigał kobietę aż do mieszkania, że przeto tak ona, jak i jej ojciec mieli prawo podobnego zuchwalca wyrzucić za drzwi i czyn taki, jako obelga karany być nie może, każdy bowiem ma prawo bronić swego ogniska rodzinnego od robactwa które je chce splamić.

Sędzia pokoju, podzielając w zupełności zasady obrony, oskarżonych od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

BRACIA VAN-BUCK.

LEGENDA.

przez

ALFREDA DE MUSSET.

W pewnem mieście nadreńskiem, żyli dwaj bracia Van-Buck, z całą słusznością uważani za nader biegłych rytowników.

Mieli oni zwyczaj, że prawie każdego wieczoru, zjadłszy obiad, zachodzili do sąsiada swego, starego złotnika; zacny ten człowiek, nazwiskiem Tomasz Heerman, przyjmował ich w izbie za sklepem, przy kominku, z wielką fajką w ustach. Wieczory te, spędzane we trzech tylko, nie należały do bardzo ożywionych; obaj bracia byli usposobienia milczącego, co zaś do złotnika, to jakkolwiek miał on jeszcze wzrok dobry, rzadko jednak zdarzało się, aby przy mozolnej pracy, zajmującej mu dzień cały i część nocy, nie był zwykle dość roztargniony i wcale niepochopny do swobodnej gawędki. Zgadzali się jednak między sobą, a raczej, właśnie takie podobieństwo usposobień tem silniej utrwalało wzajemny ich stosunek; i jak już powiedzieliśmy, należało to do szczególniejszych wyjątków, aby przechodzący ulicą przed magazynem Heermana, nie dojrzeli przez szklanne drzwi, trzech przyjaciół siedzących za stolikiem, na którym stała lampa i najczęściej trzy duże kufle piwa.

Pewnego wieczoru (niezbyt dawno temu) stary Heerman więcej niż zwykle był ożywiony.

— Co się panu stało? — pytali go rytownicy — masz pan jakąś miłą wiadomość wypisaną na twarzy.

— Zgadliście, kochani chłopcy — odparł poczciwy złotnik — jutro, córka moja, skończy edukacyą, powraca z klasztoru i dla tego też, moi kochani, jestem taki szczęśliwy, żé gotówbym zatańczyć na tym stole!

Bracia z serdeczną życzliwością uścisnęli dłoń starego przyjaciela, i reszta wieczoru zeszła na rozmowie o pannie Wilhelminie: jakto ona musiała wyrość, wypiękniéć! Na ten jeden raz piwo ustąpiło miejsca dobrze omszonej butelce wina, i rozumie się, że obaj młodzi sąsiedzi zaproszeni zostali na dzień sąsiedni na obiad do złotnika.

Nie omieszkali też stawiś się punktualnie; równo z zachodem słońca, przybrani po świątecznemu, bracia Van-Buck znaleźli się w mieszkaniu Heermana i w tejże chwili podano do stołu. Rozpromieniony złotnik, w przystępie dobrego humoru, uderzył pięścią w stół z lekką siłą, że szklanki i talerze podskoczyły wydzwaniając zachęcającą dla biesiadników przygrywkę, a jednocześnie ukazała się na progu młoda panienka, z rączkami na krzyż złożonemi i skłoniwszy się z nieśmiałością pensyonarki, zajęła miejsce pomiędzy dwoma młodzieńcami.

Pomimo wszelkich przecież usilowań złotnika, uczta odbyła się milcząco; on sam, wyczerpawszy cały zasób wesołości, zmuszony był ograniczyć się na przyglądaniu się z uśmiechem na ustach ukochanej córeczce; rytownicy ani na chwilę nie wyszli z zimnej ceremonialności i między sobą nawet ani jednego nie zamienili spojrzenia.

Wieczorem, skoro powrócili do domu, poszli spać zaraz, nie rozmawiając wcale, pomimo, że dotąd mieli zawsze zwyczaj długo w noc rozmawiać, czy to o robocie swojej, czy o wypadkach z dnia ubiegłego.

Bracia Van-Buck kochali się bardzo; wszędzie i zawsze widywano ich razem: na przechadzkach, zabawach publicznych, a zwłaszcza na polowaniu, które niezmiernie lubili. Obaj posiadali talent do rytownictwa w jednakowym stopniu, tak dalece, że niejednokrotnie brat robotę brata swoją podznaczał cyfrą. Zresztą tak podobni byli do siebie, iż śmiało mógłbyś wziąść jednego za drugiego. Tem więcej przeto uderzającem być musiało, że przy uczcie zdawali się unikać nie tylko rozmowy z sobą, ale nawet patrzeć nie śmieli na siebie; podobne postępowanie ich wielce dotknęło zacnego sąsiada; bądź co bądź cała noc zeszła im w ten sam sposób, chociaż żaden z nich oka zmrużyć nie mógł. Księżyc w pełni oświetlał wspólną ich sypialnię, a biedni młodzieńcy co chwila przewracali się z boku na bok, ciężkie wydając westchnienia. Widocznie jeden cios dotknął ich obu głęboko: obaj kochali Wilhelminę.

Cały tydzień upłynął, a bracia Van-Buck ani razu nie podali sobie ręki do uścisku; uporczywa cisza panowała w ich pracowni, a każdy z nich, pochylony nad miedzianą płytą, ani na chwilę nie odwracał od niej głowy.

W końcu tego smutnego tygodnia, stary Heermann siedział we drzwiach swego sklepu, obok niego stała Wilhelmina.

— Mówiłeś mi ojcze — zagadnęło dziewczę — że braci Van-Buck będziemy co wieczór widywać?

— Niestety! — odrzekł złotnik — to prawda, że od tygodnia nie pokazali się u nas. Dziwna rzecz!

— Miałażbym ja być tego przyczyną? gdyż od chwili mego powrotu przestali odwiedzać cię, ojcze.

Na te słowa wypowiedziane z całą naiwnością, starzec pochylił głowę i przez długi czas zachował milczenie.

— O moja córko! ukochane dziecię moje! — przemówił wreszcie, tuląc do nst bielutką i pulchną rączkę dziewczęcia. — W klasztorze nauczyli cię niezawodnie pogardzać uczuciem miłości; ale czy uczono cię także jak oprzeć się miłości? Boże mój! Boże! i dla ciebie uderzy godzina, w której zapomnisz o starym swym ojcu!

Wilhelmina za całą odpowiedź wstrząsnęła główką z figlarnym uśmiechem na ustach.

— Słodki jest twów uśmiech, aniołku mój drogi; słodszy od miodu zaiste. Daj Boże, aby nigdy on się w gorzkie łzy nie zmienił!

— Niestety, mój tatku, czyliż uważasz mnie za tak piękną, iżbym koniecznie nieszczęśliwą być miała?

W tej chwili dwaj rytownicy ukazali się przed progiem magazynu. Skoro Wilhelmina oddaliła się do przyległego pokoju, starszy z braci przemówił:

— Ujrzeliśmy twoją córkę, Hermanie, i obaj sen straciliśmy; odpowiedz nam szczerze. Czy przyjmiesz jednego z nas za zięcia? Któregokolwiek córka twoja wybierze, ten zostanie prawym jej małżonkiem. W pracowni naszej nie mniej pracuje robotników jak w twojej; firma nasza cieszy się szerokim rozgłosem, klientela nasza z każdym dniem się rozszerza. Mów coś postanowił, słuchamy cię.

Złotnik wyciągnął do nich obie ręce.

— Zostawcie mi — rzekł — trzy dni do namysłu. Ale to może będzie za długo — dodał z uśmiechem — bo widzę, żeście zakochani obaj?

— Masz słuszność — odpowiedzieli rytownicy — kochamy twoją córkę i nie godzi się zostawiać nas w niepewności, bez nadziei wyleczenia.

Przez cały wieczór dziewczę nie śmiało oczu podnieść, odgadła, domyśliła się, czy też podsłuchała, że ma wybór uczynić. Następnego poranku bracia Von-Buck otrzymali od starego Heermana list następującej treści:

„Wilhelmina widziała was obu: Tristanowi rękę swą powierza, Henryka kochać pragnie jak brata. Oby wyznanie to, do którego z wielkim skłoniłem ją mozołem, przyjęte przez was zostało tak, jak na to zasługuje. Stary przyjaciel wasz z upragnieniem oczekuje chwili, w której przytuli do łona całą zwiększoną swą rodzinę.“

Szlachetni młodzieńcy umówili się poprzednio, że skoro jeden z nich przyjętym zostanie, drugi zamilknie na zawsze. Niestety! zwykła to forma układów zawieranych w chwili, gdy jeszcze nie wiemy jaki nas los czeka. Henryk, który zaczął na głos czytać list złotnika, nie miał sił go dokończyć; położył papier na stole i bledszy od śniegu, oparł się o pulpit, aby nie upaść na ziemię.

Bez przerwy jednak żyli z sobą w dobrem porozumieniu. Co wieczór, jak dawniej, odwiedzali złotnika; szczęśliwy narzeczony nadskakiwał swojej przyszłej; sam Henryk nawet przymuszał się do okazywania dobrego humoru, nadzwyczajna tylko bladość jego zdradzała wewnętrzny niepokój.

Pewnego dnia, bracia Van-Buck, znajdując się na polowaniu, zmęczeni długiem chodzeniem, zatrzymali się wśród niewielkiej polanki i spoczęli na murawie.

— Tristanie — przemówił po niejakiej chwili Henryk — od dawna już czuję potrzebę wypowiedzenia ci, co mi cięży na sercu. Nie podobna mi zgodzić się z myślą, abyś ty miał poślubić córkę Hermana!

— Czy to tak, mój bracie — odpowiedział Tristan — dotrzymujesz danego słowa honoru?

— Wiem ja o tem dobrze, że niehonorowo postępuję; długo nad tem rozmyślałem, zanim zdecydowałem się pomówić z tobą w tej kwestyi; ale spojrzyj na mnie, bracie: życie gaśnie we mnie, a przecież ta kropla krwi, co krąży jeszcze w mych siłach, pali mnie jak ogień piekielny.

— Widzę ja to—odparł smutnie Tristan.—Czyż myślisz, że nie jest to dla mnie wielką boleścią patrzeć na twoje cierpienie? Niestety! zatruwa ono mnie wszelką możebną myśl o szczęściu! alež czy jest sposób zaradzenia temu?

— Nie ma żadnego, mój bracie: dla tego też o jedną tylko prosić cię będę łaskę. Nie zaślubiaj jej, dopóki ja nie umrę.

— Ty, miałbyś umrzeć?!! — zawołał tamten.

— Tak, mój drogi, inaczej być nie może. Zaklinam cię, zrób dla mnie to ustępstwo, bo gdybym miał być świadkiem waszego ślubu...

— Nie, bracie mój kochany — nie podobna, abyś miał umrzeć z rozpaczy!... nie żądaj odemnie przyrzeczenia, na samą myśl o tem serce mi lodowacieje.

Mówiąc te słowa Tristan popatrzył badawczo na brata i ujrzał trupią bladość na wynędzniałem jego licu.

— Henryku najdroższy! — zawołał zrywając się na równe nogi — raczej praw ci moich ustąpię, aniżeli zezwolę, abyś tak marnie miał zginąć! Proszę cię, ożeń się z Wilhelminą, ja — odjadę do Ameryki.

— Chcesz bym się z nią ożenił! — wyrwał się z piersi Henryka jęk rozpaczy. — Czyż odstępując mi praw swoich, zdołasz zarazem przekazać mi i jej miłość?... Nie, nie! jeden z nas musi koniecznie umrzeć!...

Gdy to mówił, ręka jego drżała, machinalnie dotknęła myśliwskiego noża, zatkniętego za pasem.

— Masz słuszność! — przyznał Tristan.

— Innego środka nie widzę — powtórzył Henryk.

Stanęli naprzeciw siebie z nożami w ręku i bez namysłu rozpoczęli utarczkę. Jednakowo przecież wydoskonaleni w szermierce, znając dobrze każde cięcie wypadkiem tylko mogli sobie zadawać ciosy. Całą godzinę toczyła się już śmiertelna walka, z szerokich ran krew się toczyła niczem nie hamowana, a osłabieni jej upływem bracia Van-Buck, zmuszeni byli odpoczywać co parę chwil, aby znowu, z większą zaciętością rzucić się na siebie.

Podczas jednej z przerw takich usłyszeli odgłos bębnów, wzywający mieszkańców do powrotu przed zamknięciem bram miasta. Ileż to razy o tej samej porze wracali oni ręka w rękę, znużeni, okryci pyłem, ale spokojni i zadowoleni z siebie, rozwijając w poufałym półszepcie najtajniejsze marzenia swej duszy. W tej jednej chwili cała miniona młodość złota, przemknęła przed zamglonemi ich oczyma.

Słońce kryło się już po za horyzontem; ostatnie, czerwonawe promienie jego przeświecały przez obumarłe drzew gałęzie, migotały po zeschłych liściach okrywających ziemię. Rosa wieczorna okryła murawę, a ptactwo śpiewem żegnało dzień zbliżający się do schyłku.

Tristan odwrócił głowę; wśród zapadającej mgły wieczornej ujrzał wieżyce rodzinnego miasta, strzelające ku niebu, a dalej, dalej jeszcze, wspaniała rzeka, jak olbrzymi wąż srebrzysty toczyła swe nurty wśród rozkosznej doliny. Zadrżało mu serce; postąpił kzok jeden i rękę wyciągnął do brata. Ale w tejże chwili śmiertelna ogarnęła go niemoc; wsparł się o drzewo, lecz ramiona jego usunęły się po wilgotnej korze... upadł.

Henryk z przerażeniem spoglądał na te ostatnie wysiłki brata; on również pragnął zbliżyć się do niego, lecz i on także nie zdołał się poruszyć. Cały krwią zalany, bezsilny, nie mogąc utrzymać się na nogach, potaczał się jak pijany.

W owej nieszczęsnej chwili, z głębi doliny, wśród cieniów zmroku, wysunęła się postać jakaś. Wolnym krokiem zaczęła wstępować na spadziste wzgórze, a w miarę jak się zbliżała, biednym braciom Van-Buck zdało się, iż poznają w niej ukochaną swą matkę staruszkę... Postać dosięgała już szczytu pagórka, gdy Henryk z nadludzkiem prawie wysileniem, poruszył się z miejsca, do którego dotąd zdawał się być przykutym i rzucił się w objęcia brata rozciągnionego na ziemi...

Tak w ostatnim braterskim pocałunku połączyły się dwie dusze, które miłość kobiety rozłączyć miała na wieki.

Od Redakcyi.

W. Pan Z. w Sieteszy. Posyłkę otrzymaliśmy. Bardzo dziękujemy. Korzystać będziemy.

W. Pani M. we Lwowie. M. Bałucki w Krakowie.

Treść Nr. 67.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.